

Gill Sanderson

*Harmonia
i piękno*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Miałem zadzwonić do Larry'ego w sprawie Briana Hughesa. Czy mógłbym rozmawiać z Larrym?

Mówił powoli i łagodnie, jak ktoś, kto nigdy nie unosi się gniewem. Laurę bardzo zaciekawiło, czy tak jest naprawdę.

- Nazywam się Laura McLeod - oświadczyła. - Niektórzy nazywają mnie Larry.

- Tu John Hawke. Jestem nowym lekarzem, dzisiaj zacząłem pracę u doktora Millera. Uważam, że Laura brzmi o wiele lepiej niż Larry.

- Lepiej?

- Tak, to bardzo ładne imię, podobnie jak dźwięki „Jeziora łabędziego”, które słyszę w tle. My, lekarze, stanowczo za dużo patrzymy i za mało słuchamy.

Laura ściszyła muzykę. Lubiła rozmawiać przez telefon i wyobrażać sobie, jak wyglądają jej rozmówcy.

- Miło mi pana słyszeć - powiedziała - ale spodziewaliśmy się pana dopiero za dwa dni.

- Doktor Miller zaprosił mnie na wstępną wizytę i zostałem. Zaciekawił mnie pewien przypadek.

- Brian jest pańskim pacjentem? - zapytała Laura. - Matka przywiozła go wczoraj - ciągnęła - bo jego stan się pogorszył. Mówiła, że sama czuwała nad jego dietą i dbała, żeby regularnie przyjmował leki. Zostawiła go na obserwacji.

- To chyba niewiele pomoże mi w postawieniu diagnozy. - W głosie mężczyzny zabrzmiało lekkie rozbawienie.

Laura poczuła wyrzuty sumienia.

- Jestem tak lakoniczna, bo... mam pewne podejrzenia. Brian już po raz czwarty zjawia się w szpitalu; dzieje się tak zawsze, kiedy jego matka ma nowego amanta. - Zabrzmiało to ponuro, lecz nie widziała powodu, by ukrywać fakty. - Brian za kilka dni poczuje się lepiej. Matka poromansuje i zabierze go do domu.

- Czasem trzeba leczyć rodzinę, a nie dziecko - usłyszała - ale jestem naprawdę zaskoczony. Rozmawiałem z jego matką i wydała mi się bardzo przejęta stanem małego.

- Przejęta, umalowana i świetnie ubrana. - W głosie Laury zabrzmiała ironia. - Jest pan przystojny?

Roześmiał się.

- Trudno mi to obiektywnie stwierdzić. Dlaczego pani pyta?

- Bo jeśli tak, to mogę się założyć, że ta zrozpaczona matka usiadła blisko pana i ze łzami w oczach opowiedziała, jak ciężko jest samotnej kobiecie wychowywać syna.

- Nie do wiary! Jakby pani przy tym była!

- Już nieraz widziałam to przedstawienie.

- Tym bardziej żal mi chłopca, ale pani jest cyniczna.

- Po prostu jestem realistką. Wierzę, że ludzie są dobrzy lecz nie oczekuję, że to okażą.

- Dziękuję za pomoc. Do zobaczenia na oddziale.

Powiedział to tak ciepło, że postanowiła sprowadzić rozmowę z powrotem na czysto zawodowy grunt. Przecież nie są przyjaciółmi, nawet się nie znają. Ponadto on jest lekarzem, a ona pielęgniarką,

i mają razem pracować.

- Najważniejsze jest dobro pacjenta. Cieszę się, że mogłam pomóc. Do widzenia.

Musiał wychwycić zmianę jej tonu, bo szybko się pożegnał.

Nie od razu zasnęła. Leżała, wodząc wzrokiem po pokoiku, który zajmowała w domu pielęgniarek. Pokoik był niewielki, ale ładnie urządzone. Miała tu swoją ulubioną narzutę na łóżko i reprodukcje impresjonistów. Na biurku w wazonie zawsze stał jakiś kwiat; co tydzień świeży. Za oknami szumiały drzewa.

Była zadowolona, nie potrzebowała niczego więcej.

Do szpitala należała duża pływalnia dobudowana na specjalny wniosek personelu medycznego z ortopedii, pediatrii i chirurgii pourazowej. Laura korzystała z niej codziennie. Nie znosiła wylegiwać się w łóżku. Kiedy człowiek leży bezmyślnie, przychodzą mu do głowy najdziwniejsze, niepotrzebne rzeczy.

Wstała o wpół do szóstej, wzięła ręcznik, kostium i pobiegła na pływalnię. Zawsze podczas pływania czuła się spokojna i odprężona. Uwielbiała basen o tej porze. Później przyjdą ludzie i nastrój się zmieni. Tylko teraz może sobie przemyśleć niektóre sprawy.

Tego dnia ma się odbyć zebranie personelu medycznego. David Miller przedstawi nowego lekarza. Zwykle obawiała się nowych twarzy, ale tym razem była dziwnie spokojna. Doktor Hawke jest chyba bardzo miły, ma taki ciepły głos... Przestań, powiedziała do siebie, każdy pediatra ma taki głos. Przyspieszyła i następne kilkanaście metrów przepłynęła kraulem.

Po wyjściu z basenu owinęła się grubym ręcznikiem i pobiegła do swojego pokoju. Wzięła prysznic i ubrała się w strój, jaki nosiła w szpitalu. Na oddziale Davida Millera nie noszono białych fartuchów, obowiązywały barwy pastelowe. Laura nieraz miała wrażenie, że za osłoną „munduru” czułaby się pewniej.

Przejrzała się w lustrze. Jak zwykle, wyglądała świetnie. W pracy zastała już Ellen i kończącą nocny dyżur Robin. Przysiadły na chwilę, żeby omówić wydarzenia ostatniej nocy. Przyjęto dwóch nowych pacjentów. Wcześniej przybył Brian, potem pogotowie przywiozło Eileen, dziewczynkę z raną uda, umiejscowioną niebezpiecznie blisko arterii.

- Jak to się stało?

- Podobno upadła na pustą butelkę - rzekła Ellen beznamiętnym głosem pielęgniarki. - To była butelka po whisky; w domu było przyjęcie. Jej matka ma tu przyjść dziś rano.

- Chętnie z nią porozmawiam. A jak tam Brian?

- Pani Hughes zapewnia, że sprawdzała mu poziom cukru, ale chłopiec miał lekko podwyższone wskaźniki, kiedy go tu przywieźli. Przysięga, że pilnowała diety. Trochę w to wątpię...

Laura skinęła głową. Wiedziała, że są rodzice, którzy wykorzystują chorobę dziecka, by na jakiś czas pozbyć się go z domu. Matka Briana do takich należała.

- Zaraz do niego pójde.

Brian leżał w pokoju sam. Zwrócił ku niej pobladłą buzią i lekko się uśmiechnął.

- Cześć, Brian. Jak się czujesz? Namyślał się przez chwilę.

- Wciąż jestem bardzo słaby.

- A przestrzegałeś diety?

Chłopiec nie od razu odpowiedział.

- Mama tego pilnowała. Wszystko było dobrze, a potem mi się pogorszyło. - Nagle się ożywił. - Głupio tak chorować akurat kiedy wujek Toby ma nas zabrać na wycieczkę łodzią. Teraz mama pojedzie z nim sama.

- Ja chyba nie znam wujka Toby'ego, prawda? - zapytała ostrożnie Laura.

- On jest nowy.

- Lubisz go?

Brian znowu się zamyślił.

- Często przychodzi do mamy i razem gdzieś wychodzą.

Laura uśmiechnęła się.

- Pojedziesz z nimi na wycieczkę kiedy indziej. Teraz usiądź, niech ci się przyjrzę.

Czuła, jak ogrania ją gniew, ale uśmiech nie schodził jej z twarzy. Za nic w świecie nie chciała okazać chłopcu, co myśli. Ciekawe, czy ten nowy lekarz znowu powie, że jest cyniczna.

W poczekalni zastała bardzo przejętego siedmiolatka w towarzystwie jeszcze bardziej przejętych rodziców. Podeszła, by się przywitać.

- Dzień dobry. Nazywam się Laura McLeod, a ty jesteś Harry, prawda? - Mały pacjent spojrział na nią nieufnie. - Idź do sali z zabawkami, a za chwilę sobie porozmawiamy.

Wiedziała, że dziecko musi być przygotowane na to, co je czeka. Kiedy wszystko mu się wytłumaczy, zniesie nawet ból, bo będzie miało zaufanie do lekarza i pielęgniarek.

Tego samego dnia odbyło się zebranie oddziałowe. Doktor Miller uważał, że takie spotkania powinny odbywać się jak najczęściej. Omawiano wówczas najważniejsze sprawy i każdy, kto chciał, zadawał pytania.

- Nie podoba mi się przypadek Petera Ellisa - zaczął doktor Miller. - Nie można wykluczyć, że chłopiec się przewrócił i stąd te obrażenia, ale on coś za często się przewraca.

- Jego matka wygląda na bardzo przejętą - rzekła jedna z praktykantek. - Widziałam, jak płakała przy jego łóżku.

David zamyślił się.

- Trzeba będzie ich obserwować. Gdybyś coś zauważyła, powiedz mnie albo siostrze McLeod.

- To są na razie tylko nasze domysły. Nic nikomu nie mów, a zwłaszcza rodzinie - dodała Laura.

Mówiąc to, poczuła na karku czyjeś spojrzenie. Odwróciła głowę. Mężczyzna, który za nią stał, musi być tym nowym lekarzem.

Z początku nie wiedziała, co o nim sądzić. Był wysoki, wysportowany i bardzo męski. Laura nie lubiła takich typów. Po chwili coś powiedział i zmieniła zdanie. Miał bardzo ujmujący głos i niezwykle uśmiech.

- Przepraszam za spóźnienie, ale po prostu... zablądziłem

Kilka osób roześmiało się, a David dokonał prezentacji.

- Przedstawiam państwu doktora Johna Hawke'a. John przyjechał do nas z Londynu.

John zaczął ścisnąć obecnym dłonie. Laura zauważyła, że z każdym zamieniał kilka słów. Kiedy podszedł do niej, w pochylonej nad sobą twarzy zobaczyła ciemne oczy, kolorem przypominające jej własne.

- My z siostrą już się poznaliśmy - powiedział. - Odbyliśmy bardzo miłą rozmowę przez telefon.

- Witam - rzekła oficjalnym tonem. - Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze pracowało.

- Jestem pewien. Jak się mam do pani zwracać, Larry czy Laura?

Zaskoczył ją. Myślała, że będzie dla niego siostrą McLeod. W dzieciństwie przyrodni bracia nazwali ją Larry i to chłopięce imię przylgnęło do niej na dobre. Nie przepadała za nim.

- Reaguję na jedno i drugie - odparła wymijająco.

- W takim razie Laura. To takie piękne imię.

Potrząsnęła głową. Szpital nie był odpowiednim miejscem na takie słowa i taki ton.

- Zostawiam pana w dobrych rękach - odezwał się David. - Larry, możesz oprowadzić naszego nowego kolegę po oddziale?

Gdy zostali sami, podniosła na niego oczy. Był od niej znacznie wyższy. Usiadł, tak jakby nie chciał jej przytłaczać. Ta delikatność zrobiła na niej wrażenie.

Usiadła również.

- Musi być trudno zapamiętać tyle nowych twarzy - zagadnęła życzliwie.

Nie od razu się odezwał, może nie chcąc udzielić zdawkowej odpowiedzi.

- Nowa praca, nowi koledzy, może nowi przyjaciele. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli nie wszystko od razu zapamiętam - powiedział po chwili.

To również zabrzmiało bardzo dobrze.

- Jestem pewna, że niczego pan nie zapomni - powiedziała i dopiero po chwili spostrzegła, ile prawdy było w jej słowach. John na pozór robił wrażenie swobodnego i rozluźnionego, ale w jego oczach była wytężona uwaga. Przyjrzała mu się.

Pod białym fartuchem dostrzegła ciemnobrązową koszulę i luźno zawiązany krawat. Pediatrzy zwykle miewali problemy ze strojem: jeśli byli ubrani zbyt oficjalnie, dzieci nie chciały z nimi rozmawiać, jeśli natomiast byli ubrani zbyt swobodnie, rodzice nie wierzyli w ich umiejętności. John wybrał złoty środek.

- Zaraz przyniosę karty pacjentów - dodała szybko.

- Poczekam - odparł, wygodniej sadowiąc się na krześle i przymykając oczy. - Nie musisz się śpieszyć, Lauro.

Ma piękne rzęsy. Z przyjemnością spostrzegła, że jego włosy są dość długie; nie znosiła mężczyzn ostrzyżonych na jeża.

- Nie zapomniałem o tym, co wczoraj powiedziałaś.

Drgnęła, wyrwana z zamyślenia. John otworzył oczy i spojrzał na nią poważnie.

- Przepraszam, ale co ja takiego powiedziałam? - zapytała niepewnym głosem.

- Powiedziałaś, że najważniejsze jest dobro pacjentów.

Zaczęła przewracać trzymane w ręku papiery.

- I bardzo się cieszę, że będziemy razem pracowali.

- Dziękuję, panie doktorze.

- Skoro ja mówię do ciebie po imieniu, to przypominam, że mam na imię John, ale uprzedzam, że nie reaguję, jak się do mnie mówi Johnny.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

- A gdzie mieszkałeś przed przyjazdem tutaj?
- Przez ostatnie pięć lat pracowałem w szpitalu świętej Hildy w Londynie.
- To bardzo dobre miejsce. Dlaczego się przeprowadziłeś?

Zmarszczył brwi, jakby pod wpływem złego wspomnienia, ale natychmiast się rozchmurzył.

- To rzeczywiście bardzo dobre miejsce - potwierdził. - Szpital jest świetny, ale zbyt długo tkwiłem w jednym miejscu. Oprócz tego chciałem popracować z Davidem. Sprzedałem swoje mieszkanie w Londynie i kupiłem tutaj większe i tańsze.

- Mieszkasz... sam?

- Pytasz, czy jestem żonaty? Nie, nie jestem. Nie mam też... przyjaciółki.

Poczuła wypieki na policzkach.

- Chciałam tylko... Często urządzamy towarzyskie spotkania po pracy. Znam żonę Davida, znam mężów moich koleżanek, i pomyślałam...

Zaplątała się i zamilkła. John uśmiechnął się życzliwie.

- Mam nadzieję, że się spotkamy na którymś z waszych przyjęć. Przykro mi, ale nie będę mógł nikogo z sobą przyprowadzić, przynajmniej na razie.

- Zawsze przecież możesz sobie kogoś znaleźć - powiedziała i ugryzła się w język. Co ona dzisiaj wyprawia! -Przepraszam - poprawiła się szybko - przecież to nie powinno mnie obchodzić.

- Nigdy nic nie wiadomo - rzekł tajemniczo.

Udała, że nie słyszy i podała mu trzymane w ręku karty pacjentów. Nigdy nie flirtowała w pracy. John podobał jej się, bo czuła, że musi mieć doskonały kontakt z dziećmi.

Do pokoju zajrzała jedna z pielęgniarek.

- Przyszła pani Bell. Czy ma siostra chwilę czasu?

John wstał, skłonił lekko głowę i wyszedł, umówiwszy się z nią na później. Teraz Laura przygotowała się na czekające ją spotkanie.

Wiedziała, że niektórych rodziców dręczy niepewność. Mówią sobie: Gdybym bardziej uważała... Albo: Gdybym wtedy był w domu... Rozmowa o chorobie dziecka sprawia, że czują się tak, jakby w większym niż dotychczas stopniu panowali nad sytuacją.

Córka pani Bell została przyjęta na oddział przed pięcioma dniami z rozpoznaniem cukrzycy. Matka była przerażona. Teraz weszła do gabinetu, nerwowo ściskając w rękach torebkę.

- Nie wiem, jak mogłam nie zauważyć, że jest chora - zaczęła już od progu. - Myśleliśmy, że czuje się słaba, bo to okres dojrzewania. Kiedy zaczęła chudnąć, sądziłam, że się odchudza. Potem zauważyliśmy, że ciągle pije colę i podjada słodycze. Jej nauczycielka zadzwoniła do mnie i powiedziała, że Vanessa źle wygląda. Dopiero kiedy poczułam, że jej oddech pachnie acetonem, zadzwoniłam do lekarza.

Laura takie relacje słyszała już wielokrotnie.

- Tak bardzo o nią dbaliśmy! Dlaczego to się przytrafiło właśnie jej? - spytała matka z rozpaczą.

Również to pytanie Laura słyszała już nieraz.

- Tak po prostu bywa - powiedziała. - Trzeba opracować nową dietę i wszystko będzie

dobrze.

- Ale te zastrzyki! Czy nie ma jakichś pigułek?

Wszyscy rodzice pytali o to samo. I wszystkim Laura tak samo wyjaśniała, że w przypadku leku podanego doustnie żołądek strawiłby insulinę, zanim zaczęłaby działać.

Pani Bell już to słyszała. David Miller wszystko jej wytłumaczył, ale nie przyjęła tego do wiadomości. Laura wiedziała, że upłynie wiele czasu, zanim pani Bell przestanie uważać za dopust boży to, co przytrafiło się Vanessie.

- Niech pani teraz idzie do córki.

Pani Bell wyszła, ciężko wzdychając.

Laura przez cały czas miała mnóstwo pracy. Tuż przed lunchem do pokoju pielęgniarek weszła elegancko ubrana kobieta na najwyższych obcasach, jakie Laura kiedykolwiek widziała, i o najdłuższych na świecie czerwonych paznokciach. Laura pomyślała, że w pracy pielęgniarki bywają też bardzo nieprzyjemne chwile.

- Przepraszam, szukam doktora Hawke'a.

- W jakiej sprawie potrzebny jest pani doktor Hawke?

Pani Hughes zrobiła minę zatrwożonej matki.

- Chciałam go zapytać, jak się czuje mój synek.

- Mogę panią dokładnie poinformować o stanie zdrowia Briana. Nic mu nie jest. Niedługo wróci do domu.

Pani Hughes nie była zachwycona.

- On jest taki słaby... Powinien jeszcze trochę zostać.

- A jak się udała wycieczka z wujkiem Tobym? - zapytała nieoczekiwanie Laura. - Brian tak bardzo się na nią cieszył.

Pani Hughes zarumieniła się.

- Coś się zepsuło, chyba silnik. Dlatego właśnie...

- Wpadła pani odwiedzić Briana - dokończyła Laura. - Jestem pewna, że za tydzień będziecie mogli pojechać we troje. Jutro lekarz prowadzący powie pani, kiedy Brian zostanie wypisany.

- To chyba za szybko? Mógłby zostać jeszcze jakiś czas.

Laura spojrzała na nią ostro.

- Mamy mnóstwo pacjentów, potrzebne jest łóżko. A teraz żegnam panią.

Kiedy kobieta wyszła, Laura przez jakiś czas siedziała, próbując się opanować. Może trzeba zrozumieć matkę Briana; jest sama, a od czasu do czasu każdy musi mieć chwilę dla siebie...

Usłyszała za plecami jakiś szelest, a kiedy się odwróciła, ujrzała Johna.

- Nie mam zwyczaju podsłuchiwać - zaczął - ale tak się stało, że słyszałem twoją rozmowę.

- Powiedziałam tylko prawdę.

John przez chwilę milczał.

- Dobrze to rozegrałaś - pochwalił ją. - Byłaś spokojna, jednak dałaś jej do zrozumienia wszystko, co chciałaś. Wyglądasz krucho, ale w środku jesteś jak stal.

- Nie wiem, czy to komplement.

Uśmiechnął się szeroko.

- To miał być wielki komplement.

Szpital położony był w pięknym starym parku, po którym Laura uwielbiała spacerować. Kilka metrów od szpitala człowiek czuł się tak, jakby był na wsi, daleko od miasta.

Tej soboty postanowiła wybrać się na długi spacer. Dokoła królowała jesień. Cudownie było tak iść przed siebie, nie myśląc o niczym. Szurała nogami, brnąc przez jesienne liście. Od dziecka to lubiła, dawało jej to poczucie swobody.

- Też tak robiłem, kiedy byłem mały - usłyszała tuż obok siebie głos. - To fantastyczne uczucie...

Jej serce nagle zaczęło bardzo szybko bić.

- Co tutaj robisz? Śledzisz mnie?

- Nie, mieszkam tuż obok i codziennie chodzę tędy do pracy.

Niepotrzebnie tak się nastroszyła. Przecież każdy ma prawo spacerować po parku.

- Bardzo tu miło - rzekła uspokojona. - Często tutaj przychodzę.

- Pozwolisz, że przez chwilę będę ci towarzyszył?

Podobało jej się, że zapytał; niewiele osób szanuje cudzą prywatność.

- Bardzo proszę.

Doszli do następnej kupy liści i tym razem John przeszedł przez sam środek, rozkopując je jak mały chłopiec.

- Ale fajnie! - mruknął i Laura roześmiała się.

Przez chwilę szli obok siebie bez słowa. Ta cisza wcale nie była krępująca. Laura już wcześniej zauważyła, że John ma dar przyjaznego milczenia.

- Nie zdążyliśmy porozmawiać o tym pacjencie, którego przywieźli wczoraj - zaczęła. - To bardzo ciekawy...

Poczuła na ramieniu rękę Johna.

- Nie - powiedział łagodnie. - Zaczekaj. Teraz, kiedy mamy wolną chwilę, nie mówmy o pracy.

Zaniepokoiła się: kiedy dyskutowali o pacjentach, czuła się bezpiecznie.

- A o czym chciałbyś porozmawiać?

Jej samej nic nie przychodziło do głowy.

- Na przykład o tym parku.

To również był bezpieczny temat; podjęła go z radością. Zapoznała Johna z historią lorda Seddona, który podarował miastu swój ogród, pod warunkiem że będzie w nim bezpiecznie. Dlatego policja dzień i noc patrolowała park.

- Nigdy się tutaj nie bałam, nawet kiedy byłam mała.

- Więc pochodzisz stąd?

- Tak, tu się urodziłam i tu chodziłam do szkoły, a ponieważ zawsze chciałam być pielęgniarką, odbyłam praktykę w miejscowym szpitalu i zostałam na zawsze.

- Myślałem, że mieszkasz w domu dla pielęgniarek.

- Tak, wolę mieszkać przy szpitalu, tak jest wygodniej.

- Rzeczywiście. W Londynie pielęgniarki mieszkały w gorszych warunkach.

Zrozumiała, że postanowił więcej nie pytać. Widocznie wyczuł, że jest coś, o czym ona nie

chce mówić, i skierował rozmowę na inny temat. Gdy wyszli z parku, ujrzeli szereg eleganckich domów willowej dzielnicy.

- Powiedz mi, jeśli możesz - odezwał się nieśmiało po chwili milczenia - czy w twoim życiu ktoś jest? Chciałbym to wiedzieć.

- Nie, nie mam nikogo - odparła po prostu. - Oczywiście spotykałam się z mężczyznami, ale... - Machnęła ręką na znak, że nie było to nic ważnego. - Nie mam nic przeciwko przedstawicielom płci męskiej - wyjaśniła szybko. - Po prostu bardzo dużo pracuję i nie mam czasu.

John wskazał rząd niewielkich domków.

- Tam mieszkam. Ostatnie piętro po prawej stronie.

Spojrzała we wskazanym kierunku. Ciekawe, jak to jest mieć własny dom. W mieszkaniu dla pielęgniarek czuła się bardzo dobrze, ale nie była tam u siebie.

- Śliczny, naprawdę śliczny - powiedziała szczerze. - Musisz mieć stamtąd piękny widok.

- Może byś wpadła do mnie na kawę?

Bardzo tego chciała, ale nie miała teraz czasu.

- Może innym razem. Muszę wracać do siebie. Mam... Uśmiechnął się.

- Nie cierpiące zwłoki mycie włosów?

W tonie jego głosu nie było cienia złośliwości.

- Zgadłeś, ale niezupełnie. Mam naprawdę nie cierpiące zwłoki pranie.

- Rozumiem. Odłożymy to na później, na przykład na wieczór. Może byśmy poszli na kolację?

Zabrzmiało to niewinnie, bez podtekstów i aluzji. Przewyciężyła pokusę.

- To miło z twojej strony, ale dziękuję. Niejedna pielęgniarka przyjmie twoje zaproszenie.

Wymieniłyśmy już poglądy i doszłyśmy do wniosku, że jesteś wspaniała.

Uśmiechnął się.

- Bardzo pocieszające, ale ja nie chciałem po prostu iść na kolację z pielęgniarką, tylko z tobą. Namyśl się, może nabierzesz ochoty. A teraz wrócisz sama czy mam cię odprowadzić?

- Dziękuję, dam sobie radę.

- W takim razie do zobaczenia.

Lekko dotknął jej ramienia, odwrócił się i odszedł. Przez chwilę za nim patrzyła, potem wolno poszła w swoją stronę. Nie wiedziała, czy zrobiła dobrze. Czy zawsze tak będzie?

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego dnia pogoda skłoniła Laurę do odłożenia obowiązków domowych i skusiła do ponownego odwiedzenia parku. Przeszła wolnym krokiem przez plac zabaw, patrząc na biegające dzieci. Wiele z nich знаła ze szpitala: przyjeżdżały z rodzicami na izbę przyjęć z oparzeniami albo po prostu ze stłuczonymi kolanami. Z przyjemnością zauważyła, że żwirek na placu zamieniono na specjalną nawierzchnię z dodatkiem gumy. Może teraz „rannych” będzie mniej.

- Timmy, przestań biegać! Wracaj!

- Nie mogę! Jestem samochodem!

Laura uśmiechnęła się na widok rodzinnej sceny. Mały, może sześciolatek biegł po trawniku, głośno warcząc, a młoda wystraszona opiekunka na próżno próbowała go powstrzymać. Coś w jej wyglądzie sugerowało, że nie jest Angielką.

- Nie biegaj tak!

Laurze przeszło przez myśl, że dziewczyna niepotrzebnie tak się denerwuje; w parku dziecku nic nie grozi, nie ma tu samochodów ani rowerów. Chłopiec zresztą zupełnie się nie przejmował.

- Nie wrócę i już! - krzyknął.

Na moim oddziale byłby grzeczniejszy, pomyślała Laura mimochodem. Kupiła sobie loda i spacerowała dalej, rozkoszując się łagodnymi promieniami słońca. Widziana przed chwilą scena utkwiła jednak w jej pamięci. Chyba gdzieś już widziała tego chłopca... Widuje jednak tyle dzieci! W mieście zawsze wszyscy ją poznawali, dzieci, które widziała kilka lat wcześniej, uśmiechały się do niej, rodzice wymieniali słowa powitania.

Podeszła do jeziora i przez chwilę patrzyła na kaczki. Po pewnym czasie poszła dalej i nieoczekiwanie znalazła się wprost przed domem Johna, w miejscu, gdzie stali razem poprzedniego dnia. Spojrzała na balkon ozdobiony pięknymi kwiatami. Nagle zobaczyła, że ktoś wyszedł z pokoju i szybko odwróciła wzrok. Zachowuje się naprawdę głupio. John jest bardzo miły, ale przecież wcale go nie zna. Musi najpierw dobrze go poznać, zanim... Właściwie, zanim co?

Szybkim krokiem zawróciła w stronę szpitala. Po drodze minęła młodą cudzoziemkę, opiekunkę Timmy'ego. Dziewczyna siedziała na trawniku na rozłożonym płaszczu, śpiący chłopiec leżał na jej kolanach.

Laura minęła ich i nagle zwolniła kroku, tak jakby podświadomość sprawiła, że nogi przestały ją nieść. W jej głowie zrodziła się jakaś myśl, nieokreślona, ale bardzo niepokojąca. Coś ją dręczyło, jakieś niejasne przypomnienie... Tak, Timmy! Naturalnie, zna Timmy'ego! Zna go ze szpitala! Przecież to Timmy Roscoe!

Doskonale pamiętała jego matkę. Pani Roscoe była wysoka, świetnie ubrana, wyniosła i wymagająca. Zachowywała się jak dama, z tą tylko różnicą, że brakowało jej dystansu i powściągliwości w wyrażaniu poglądów. Kiedy się denerwowała, wypadała z roli i niemal zaczynała przypominać handlarke. Laura przypomniała sobie jej rozmowę z jedną z pielęgniarek.

„Oczywiście mogliśmy skorzystać z prywatnej kliniki, ale mój mąż uparł się, żeby jechać do zwykłego szpitala”...

Dlaczego jej się to przypomniało? Wyjaśnienie spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Timmy ma cukrzycę! Leżał w szpitalu, leczono go, a potem odesłano do domu ze szczegółowymi instrukcjami, jak postępować z jego schorzeniem.

Pani Roscoe na pewno, powiadomiła opiekunkę o stanie dziecka - w przeciwnym razie chłopcu grozi śpiączka. Dzieci są bardziej podatne na nagły spadek cukru we krwi... Ale może Timmy po prostu zasnął? A jeśli nie? Jeśli to śpiączka cukrzycowa?

Laura zatrzymała się. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Spacerowała po parku, w zwyczajnym

ubrani i nic nie wskazywało na to, że jest pielęgniarką. Czuli się słabi i bezradni; przez myśl przeszły jej słowa wypowiedziane w szkole pielęgniarek przez jednego z wykładowców: „Nieraz spotkacie ludzi, którzy sami sobie szkodzą, postępując niewłaściwie. Na przykład, palą papierosy. Nie macie prawa ingerować w ich życie; możecie im pomóc dopiero wówczas, gdy się do was zwrócą. W przeciwnym razie napotkacie stanowczy opór”.

Przeszła kilka kroków i znów się zatrzymała. Wahała się krótką chwilę, a potem zawróciła. Młoda kobieta siedząca na trawie z chłopcem w objęciach spojrzała na nią podejrzliwie i mocniej przytuliła do siebie dziecko.

- Witaj, Timmy - rzekła z uśmiechem Laura, nie zwracając uwagi na to, że chłopiec śpi, a potem zwróciła się do jego opiekunki: - Jestem pielęgniarką z tutejszego szpitala. Timmy był naszym pacjentem.

- Timmy śpi - mruknęła dziewczyna nieprzyjaźnie. - Proszę dać nam spokój.

Laura stała teraz tuż obok chłopca i wcale nie miała zamiaru odchodzić. Dziecko było blade, na jego czole widniały krople potu; wyglądało zupełnie inaczej niż kilka minut wcześniej. Laura przeniosła wzrok na dziewczynę.

- Jak ci na imię?

- Helga.

- Jestem pielęgniarką, Helgo. Znam Timmy'ego, wiem, że ma cukrzycę. Czy zgodzisz się, że przyniosę mu coca-colę, żeby się napił? Potem pójdziemy do szpitala...

Reakcja dziewczyny kompletnie ją zaskoczyła.

- Idź sobie! - krzyknęła Helga. - Odejdź stąd! Pani Roscoe mnie ostrzegła, że są tacy ludzie! Obiecują dziecku coś do picia, a potem porywają!

- Co tu się dzieje? - Za plecami Laury rozległ się jakiś głos. - Czego chce od was ta kobieta?

Helga uniosła przerażony wzrok.

- To ta, co porywa dzieci. Widziałam ją w telewizji. Mówi, że da im colę, a potem je zabiera. Chce mi zabrać Timmy'ego.

Gwałtownym ruchem przyciągnęła chłopca do siebie. Timmy nawet nie drgnął. Laura wiedziała, że teraz nie może stąd odejść, nawet gdyby ludzie mieli ją zlinczować.

- Posłuchaj - rzekła do Helgi. - Zrozum, ja naprawdę jestem pielęgniarką, ja...

- Tamta też tak mówiła. W telewizji powiedzieli, że będzie próbowała jeszcze raz. Trzeba wezwać policję.

Ktoś popchnął ją tak, że upadła. Ludzi przybywało.

- Pamiętam, w radiu też mówili, że ta kobieta chodzi po parkach, mówi matce, że da dziecku coś słodkiego, a jak tamta się odwróci, to je porywa i szukaj wiatru w polu!

To niemożliwe, to wszystko pewnie mi się śni! Myśli przemykały przez głowę Laury jak błyskawice

- Tamta to miała nawet na sobie fartuch pielęgniarski!

Policja do dzisiaj jej nie złapała!

Teraz już wszyscy mówili jednocześnie.

- Biedna dziewczyna, wystraszyła się, że odbiorą jej dziecko.

Ktoś współczująco pogłaskał Helgę po ramieniu.

- A malec spokojnie śpi, biedactwo. Nic nie wie, co mu groziło.

Kobieta w średnim wieku z rozczuleniem popatrzyła na nieruchomego chłopca.

Laura podniosła się z kolan.

- Proszę mnie posłuchać...

Jakaś otyła jejmość przepchnęła się przez tłum.

- Nie ma co czekać na policję! Sami damy jej nauczkę!

Takie to się powinno...

Miała purpurową twarz i małe, nabiegłe krwią oczy.

- Zaraz zobaczysz, ty...

Laura poczuła, że kręci jej się w głowie; przymknęła oczy.

- Proszę mnie przepuścić. - Głos, który usłyszała, był stanowczy, spokojny i tak pewny siebie, że niemal zobaczyła, jak tłum rozstępuje się przed mówiącym. - Jestem lekarzem.

Proszę odejść od dziecka.

Poznała ten głos natychmiast. Doktor John Hawke stał tuż obok niej.

- I proszę zostawić tę panią w spokoju.

Ludzie natychmiast się odsunęli, nawet gruba jejmość gdzieś zniknęła. John pochylił się nad Laurą.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową, nie mogąc wymówić słowa.

- On jest chory - powiedziała wreszcie z wysiłkiem. - Był u nas na oddziale. Przed chwilą biegał, musiał bardzo się zmęczyć, chyba zapadł w śpiączkę. Jego opiekunka, Helga, nic nie rozumie. Myśli, że chce jej porwać dziecko.

Ze zdumieniem spostrzegła, że Helga pozwala Johnowi zbliżyć się do chłopca i położyć mu dłoń na czole.

- Proszę mi pomóc go posadzić. Nie może tak leżeć. Kiedy zacznie wymiotować, może się udławić.

Helga posłuchała bez słowa i John mógł dokładniej zbadać chłopca.

- Może się na coś przydam, panie doktorze... - Laura ze zdumieniem rozpoznała głos mężczyzny, który przedtem najgłośniej krzyczał. Szybko zmienił front Oj, ludzie... Dlaczego nie pomyślicie, zanim coś zrobicie?

- Proszę iść do kawiarni i przynieść łyżeczkę cukru.

John przeniósł wzrok na Helgę, która była bliska płaczu.

- Czy powiedziano ci, jak masz postępować z tym chorym chłopcem?

Dziewczyna niepewnym ruchem wskazała plastikową torebkę.

- Tu mam butelkę coca-coli, pani powiedziała mi też, że nie wolno mu szybko biegać, ale Timmy jest niegrzeczny, nigdy mnie nie słucha.

Widać było, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Co tu się stało?

Do grupki ludzi zbliżył się policjant.

- Jestem lekarzem, a ta pani jest pielęgniarką – odparł John. - Chłopiec ma cukrzycę i

właśnie zapadł w śpiączkę. Sytuacja jest poważna. Natychmiast trzeba go przewieźć do szpitala. Ma pan tu gdzieś samochód?

- Tak, zaraz się porozumiem z kolegą, przyjedzie tutaj.

- A czy przedtem mógłby pan coś zrobić, żeby ci ludzie się rozeszli?

- Jest cukier. - Mężczyzna wrócił biegiem z kawiarni, niosąc w ręku serwetkę wypełnioną cukrem.

John podtrzymał głowę chłopca i umoczył palec w białych granulkach.

- Może nie jest to higieniczne... - szepnął do Laury i włożył chłopcu palec do buzi - ale konieczne.

Odczekali kilka sekund. Tempo, w jakim chory w podobnym stanie reaguje na podany cukier, wskazuje na stopień zaawansowania śpiączki. W przypadku Timmy'ego rokowania nie były dobre.

- Trzeba mu podać kroplówkę. Natychmiast musi się znaleźć w szpitalu.

Gdy podjechał policyjny landrover, John zaniósł do niego bezwładne ciało chłopca.

- Helgo, pojedziesz z nami; trzeba zawiadomić jego rodziców. I nie przejmuj się, to nie twoja wina. Wszystko im wytłumaczymy - rzucił przerażonej dziewczynie.

John z samochodu zadzwonił do szpitala z poleceniem, by poczyniono odpowiednie przygotowania, a potem uśmiechnął się do Laury.

- Mamy szczęście. David Miller ma dyżur. Możemy spokojnie zostawić mu chłopca.

- W takim razie ja mam podwójne szczęście - westchnęła Laura. - Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez ciebie. Chyba by mnie ukamienowali.

- To nie było szczęście. Zobaczyłem cię z balkonu i pomyślałem, że może zmieniłaś zdanie i wpadniesz na kawę. Potem, kiedy odeszłaś, patrzyłem za tobą.

Laura odwróciła wzrok.

- Tak czy inaczej, dobrze, że zbadaleś chłopca.

Było jej wstyd, że przyłapał ją jak się wpatrywała w jego okna, a jednocześnie cieszyła się, że patrzył w ślad za nią.

W szpitalu wszystko już na nich czekało. Siostry położyły Timmy'ego na wózku i szybko zawiozły na oddział. John miał zadzwonić do rodziców chłopca. Przede wszystkim jednak musiał zobaczyć, co z Timmym.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedział do Laury i zniknął w korytarzu.

Poczuła, jak spływa z niej całe napięcie.

- To ty, Larry? Zbierasz teraz pacjentów po parkach?

- Siostra Ann Adams podeszła do niej z uśmiechem. - Nie poznałam cię w tym stroju.

Tak, Laura bez stroju pielęgniarki też czuła się nieswojo.

- Przywiozłam tu tego chłopca z cukrzycą...

W oddali, na końcu korytarza, widziała Davida i Johna pochylonych nad leżącym na łóżku dzieckiem.

- Nie mam teraz nic do roboty, chodźmy do dyżurki - powiedziała Ann.

Laura nie chciała czekać, aż John skończy. Do domu też nie miała ochoty wracać.

- Skoro już tu jestem, może przejrzę papiery. Mam nadzieję, że nie będę ci przeszkadzać.

- Jesteś u siebie. - Ann uśmiechnęła się. - Mam mu powiedzieć, że siedzisz w pokoju pielęgniarek?

- Komu?

- Panu doktorowi.

- Powiedz... że wróciłam do domu.

- Jak chcesz, moja droga.

Ann powiedziała to zupełnie zwyczajnym głosem, ale Laura dostrzegła w jej oczach wesołe iskierki.

Schowała się na zapleczu za dyżurką pielęgniarek. Pomieszczenie robiło wrażenie zacisznej norki. Regały były zavalone jakimiś rzeczami, na środku stał stół i jedno krzesło. Laura zabrała się do pracy.

Czasem już nie bardzo wiedziała, czy jest pielęgniarką, czy urzędniczką. Codziennie po pracy czekał na nią stos dokumentów do wypełnienia: formularze, sprawozdania i uwagi dodatkowe. Już dawno zrozumiała, że jedynym sposobem, by nie utonąć w morzu papierów, jest nieodkładanie niczego na później.

Teraz miała przed sobą plan praktyki jednej z młodych pielęgniarek, które właśnie zaczynały stawiać pierwsze kroki w szpitalu.

Natalie Platt - wypisała dużymi literami na osobnej karcie. Ostatnio wprowadzono pewną innowację: młode pielęgniarki, zamiast od razu normalnie podjąć pracę na oddziale, zaczynały od teorii. Nazywało się to „Projekt 2000”. Laura wątpiła, czy jest to najwłaściwszy sposób wprowadzania młodych ludzi do zawodu, ale nic na to nie mogła poradzić. Odkąd Natalie Platt została jej przydzielona, to ona miała czuwać nad „rozwojem młodej kadry”. Musiała również sporządzać regularne sprawozdania dotyczące tego pasjonującego procesu.

Pogrążyła się w pracy i dopiero władczy, damski głos oderwał ją od niej.

- Moje nazwisko Roscoe. Zadzwoniono do mnie w samym środku ważnego zebrania. Co się stało? Czy mój syn znowu narobił sobie kłopotu?

Nastąpiła wymiana zdań i Laura wróciła do pracy.

Może jednak powinna tam pójść... Po kilku minutach drzwi otworzyły się, a potem zamknęły z trzaskiem; głos pani Roscoe dobiegał teraz z korytarza.

- Co za głupia dziewczyna! Chyba będę musiała ją zwolnić. Ale co w tym dziwnego, przecież to cudzoziemka.

Głos Johna Hawke'a był równie wyraźny:

- Czy opiekunka wiedziała, że chłopiec jest chory?

Pani Roscoe parsknęła z oburzeniem.

- Timmy jest normalnym chłopcem. Cukrzyca to nic strasznego.

Laura zrozumiała, że jest w pułapce i musi wszystkiego wysłuchać. Nie ma wyjścia, jedyne drzwi prowadzą wprost na korytarz. Nie znosiła podsłuchiwać, ale tym razem została do tego zmuszona.

- Nieraz się zastanawiam, czy wy, lekarze, macie rację - ciągnęła matka chłopca. - W tej chwili Timmy czuje się nie najlepiej, ale dzień, dwa w szpitalu i wszystko będzie dobrze.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi. Choroba pani syna jest bardzo poważna.

- Tak, ale...

John mówił teraz dziwnie zmienionym głosem. Zniknął gdzieś uśmiechnięty doktor Hawke. Pani Roscoe tego nie spostrzegła, ale Laura dokładnie wyczuła różnicę. W głosie Johna brzmiała niezłomna stanowczość. W dalszym ciągu mówił spokojnie, ale w każdej chwili mógł nastąpić wybuch.

- Chciałbym pani zwrócić uwagę na pewien bardzo znamieny fakt. Pani syn jest poważnie chory; wypisaliśmy go ze szpitala z konkretnymi zaleceniami, które miały być skrupulatnie wypełniane. Timmy może normalnie żyć, ale tylko wtedy, gdy stworzy mu się warunki, żeby w ogóle utrzymać go przy życiu. Pani nieodpowiedzialność i lekceważenie zaleceń spowodowały, że życie pani syna zostało zagrożone. Mamy więc obowiązek powiadomić odpowiednie instytucje o tym, co zaszło, a być może zaistnieje też konieczność odwołania się do sądu rodzinnego. Należy sprawdzić, czy państwo jako rodzice potrafią zapewnić choremu dziecku odpowiednie warunki. W sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia można będzie państwu nawet ograniczyć władzę rodzicielską. Do widzenia pani.

Laura nie mogła wyjść ze zdumienia. Takiego Johna jeszcze nie знаła. Jego wściekłość niemal ją przeraziła. Z drugiej jednak strony, pani Roscoe nie zasłużyła na inne traktowanie.

- Muszę natychmiast zadzwonić! - zawołała ze złością. - Gdzie tu jest telefon! Jak on śmiał... To ty, Harry? Tak, to bardzo ważne. Jestem w szpitalu i jakiś lekarz potraktował mnie jak... Nie daruję mu tego. Co? Timmy? Już mu lepiej. Tylko zasnął... Lepiej mu, powiedziałam... Tak, z Helgą, w parku... Co? Znalazła go jakaś pielęgniarka. I ten okropny lekarz... Trzeba go natychmiast wyrzucić z pracy! Słyszysz? Harry!

Rozległ się odgłos rzucanej słuchawki i stukot obcasów. Laura odetchnęła z ulgą. Przypomniała sobie starą szpitalną dewizę: „Chore dziecko to dwóch pacjentów: dziecko i jego matka”. Była bardzo zadowolona, że to nie jej przypadła w udziale rozmowa z panią Roscoe, co nie znaczy, że nie dałaby sobie rady, gdyby zaistniała taka konieczność.

Poczuła się bardzo zmęczona. Złożyła papiery i wymknęła się do domu.

Następnego dnia poszła odwiedzić Timmy'ego. Na widok chłopca ogarnęła ją duma. Postąpiła słusznie: zapobiegła nieszczęściu, sprawdziła się.

Na swoim oddziale nie miała dużo pracy. Dopilnowała karmienia dzieci, którym poprzedniego dnia wycięto migdałki. Podawano im płatki rozmoczone w mleku; przetykały je z trudem, ale tylko nieliczne odmawiały posiłku. Wyjątkowo stanowczy okazał się pod tym względem piętnastoletni dryblas, któremu Laura sięgała do ramion.

- Zjedź, proszę, chociaż kawałek bułeczki. Zobacz, ta mała dziewczynka tak dzielnie daje sobie radę.

Próba zawstydzenia powiodła się i chłopak z trudem przełknął kęs, wbijając wzrok w ośmiolatkę bohatercko połykającą płatki mimo łez płynących jej po policzkach.

Dopiero o piątej mogła na chwilę usiąść i wypić kawę. Sięgnęła po herbatniki. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Mogę na chwilę? Nazywam się Harry Roscoe.

- Bardzo proszę. Napije się pan kawy?

Spodobał się jej na pierwszy rzut oka. Był niski, okrągłutki i miał szczere spojrzenie. Usiadł i

z wdzięcznością przyjął kubek z kawą. Spojrzał na nią zyczliwie.

- Uratowała pani życie mojemu synowi - oznajmił.

Laura pokręciła głową.

- To tylko zasługa doktora Hawke'a.

- Już u niego byłem. Powiedział, że pani pierwsza wszystko zauważyła. Helga zabrałaby go do domu i pozwoliła mu tak spać do wieczora. Timmy umarłby, prawda?

- Bardzo by się rozchorował - odrzekła po namyśle.

- Wiem, co się stało w parku - ciągnął pan Roscoe. - Wiem, że nie ustąpiła pani i postawiła na swoim. Uratowała mu pani życie i bardzo za to dziękuję. Mam tylko jego jednego. Nie możemy mieć więcej dzieci. Chciałbym się jakoś odwdziżyć.

Gwałtownie machnęła ręką.

- O tym nie ma mowy!

- Wiem, co chce pani powiedzieć, ale czuję się winny. Za dużo pracuję, a za mało czasu poświęcam dziecku. Teraz jednak wszystko się zmieni, dzięki pani. Dlatego postanowiłem jakoś się odwdziżyć. Wskazała mi pani właściwą drogę.

- Rozumiem, ale ja mam wszystko, czego mi trzeba. Całkiem nieźle zarabiam. - Cała scena zaczęła ją bawić. - Chociaż, gdyby pan chciał... Zawsze są nam potrzebne nowe zabawki, przychodzi tu tyle dzieci. Bardzo by się ucieszyły.

- Załatwione.

Wyjął z kieszeni książeczkę czekową, szybko coś napisał i podał wypełniony czek Laurze.

- Niech pani z tym zrobi, co chce. Ja idę posiedzieć przy moim chłopaku i... jeszcze raz za wszystko dziękuję. - Już w drzwiach odwrócił się: - Słyszałem w radiu, że złapali tamtą nieszczęsną kobietę, która porwała dziecko. Uciekła podobno ze szpitala psychiatrycznego.

Zniknął za drzwiami. Laura spojrzała na trzymany w ręku czek i oniemiała. Opiewał na trzysta funtów.

- Bardzo panu dziękujemy - wybąkała.

O dziewiątej prawie wszyscy pacjenci już spali. Tylko starsze dzieci grały jeszcze w gry komputerowe albo oglądały telewizję. Laura znowu wyciągnęła papiery.

- To ja.

W progu dyżurki ukazał się John. Miał na sobie biały fartuch, a pod nim niebieską koszulę i krawat. Nie widziała go od momentu ratowania Timmy'ego.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie, muszę jeszcze spojrzeć na Petera Ellisa. Jeśli będę czegoś potrzebował, na pewno cię poproszę. - Mimo to wszedł do środka. - Wyglądasz na zmęczoną. Wszystko w porządku?

Pokazała mu leżący na biurku czek.

- Ojciec Timmy'ego był u mnie i dał mi to. Trzysta funtów na zabawki dla dzieci. Myślisz, że możemy wydać aż tyle?

John spoważniał.

- Oczywiście, panu Roscoe niewiele ubędzie. Powiedział mi, że jest właścicielem kilku biur turystycznych.

- Racja! „Roscoe Travel”, że też od razu tego nie skojarzyłam.

Biura pana Roscoe mieściły się na głównych ulicach wielu miast i miały doskonałą opinię. Ich usługi były drogie, ale bez zarzutu.

- Będę mógł wpaść do ciebie na kawę za jakieś dziesięć minut? - spytał John nieoczekiwanie.

- Na kawę, a może i na herbatniki, jeśli masz niski poziom cukru we krwi.

- Właśnie dlatego tu przyszedłem. Strasznie spadł mi poziom cukru, czuję się wyczerpany, mam halucynacje i nagle napady lęku; jednym słowem, jestem kłębkiem nerwów.

Laura spojrzała na mężczyznę swobodnie opartego o ścianę, z rękami w kieszeniach i z przekornym uśmiechem na ustach. John Hawke nie wyglądał bynajmniej na „kłębek nerwów”.

- Wyjdź stąd - powiedziała, żartobliwie grożąc mu palcem - i zostaw biedną zapracowaną pielęgniarkę w spokoju.

Mimo to wstała, gdy opuścił dyżurkę, i zajrzała do szafki, w której przechowywała herbatniki i kawę.

Ciekawe, dlaczego przyszedł. Peter Ellis ma się nieźle, jego skaleczenia się goją i wszystko wskazuje na to, że naprawdę upadł i potłukł się. Nie ma mowy o agresji z zewnątrz. Czyżby John przyszedł tu specjalnie do niej? Może wiedział, że o tej porze jest sama, i postanowił się z nią zobaczyć?

Odszukała najlepszy gatunek kawy i pomyślała, że zaparzy coś naprawdę dobrego, a nie zwykłą szpitalną lurę. Po chwili aromatyczny zapach wypełnił niewielkie pomieszczenie. Laura położyła herbatniki na talerzyku i poczuła się jak pani domu oczekująca miłego gościa.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Siostra McLeod, słucham.

- A tu twoja ukochana cioteczka, Sal. Jak się masz, kochanie?

Laura zamarła; perspektywa spędzenia cudownych dziesięciu minut z Johnem odplynęła gdzieś w dal. Jednocześnie pojawiły się wyrzuty sumienia. Sal Wilmot była ciotką Laury, to ona przygarnęła osieroconą córkę swej młodszej siostry i przez całe lata zapewniała jej ciepło domowego ogniska. Laura miała świadomość, że zaniedbując ciotkę, nie wypełnia swojego obowiązku.

- Jak się masz, Sal? Domyślam się, skąd dzwonicz - powiedziała, usiłując przybrać swobodny ton.

Z oddali dobiegł ją gwar głosów i dźwięk szkła.

- Wiem, że wiesz. Dzwonię oczywiście z mojego ulubionego klubu.

Laura oczami duszy ujrzała całą scenę i Sal siedzącą przy barze w Glimour Rugby Club. Spędzała tam prawie każdy wieczór, stawiając przed sobą szklaneczkę whisky i paląc papierosa za papierosem. Towarzyszyli jej stali bywalcy: miejscowy adwokat, lekarz, właściciel jakiejś agencji czy sklepu. Ciotka uwielbiała się bawić. Laura dawniej też chodziła do klubu, ale ostatnio straciła na to ochotę. Nie chciała powiedzieć Sal, dlaczego. Nie mogła.

Sal nie dawała za wygraną.

- Dawno cię nie słyszałam. Może masz jakiegoś faceta, słonko? Jakiegoś bogatego doktora? Przyrowadź go do domu, niech mu się przyjrę.

- Nie mam żadnego faceta, Sal. Po prostu jestem bardzo zajęta.

- Za dużo pracujesz, malutka. To kobiecie nie służy. Od tego psują się oczy i więdną skóra. Bierz

przykład ze mnie, dziecko.

- Chyba masz rację - westchnęła Laura. - Wszystko traktuję zbyt poważnie.

Problem w tym, że Sal wcale nie była takim lekkoduchem, na jakiego pozowała. Doskonale radziła sobie w interesach, a należały do niej trzy wielkie salony fryzjerskie w mieście.

- Tak czy inaczej, opowiem ci w skrócie, co u nas słychać. Buster przyjechał w zeszłym tygodniu i cały czas się o ciebie dopytuje. Jutro po południu mają grać mecz. Może wpadniesz i zostaniesz potem na przyjęciu? Bardzo dawno się nie widzieliśmy.

W głosie ciotki Laura usłyszała lekką wymówkę.

- Tak, to prawda, A jak się wiedzie Robertowi na uniwersytecie?

Jakoś nie mogła nazywać go Busterem. W domu Sal wszyscy nosili jakieś przezwiska. Jej przybrany młodszy brat nie był dla niej żadnym „Busterem”, miał na imię Robert. Zawsze najbardziej go lubiła ze wszystkich trzech synów ciotki. Tak naprawdę byli tylko jej kuzynami, ale od małego uważała ich za braci. Robert był najwrażliwszy z całej trójki. Pozostali dwaj - Clive i Colin - kochali ją jak siostrę i zrobiliby dla niej wszystko, ale zupełnie jej nie rozumieli. Duchowo byli sobie tak obcy, jakby urodzili się na innej planecie.

- Miewa się bardzo dobrze - odparła Sal. - Grywa w rugby i niedługo ma przejść do reprezentacji.

- A jak na uczelni? - powtórzyła Laura.

Niemal zobaczyła, jak Sal wzrusza ramionami. Dla niej liczyło się tylko rugby.

- Dobrze, oczywiście. Wszyscy zawsze dobrze się uczyliście.

Miała rację. Mimo fanatycznego uwielbienia sportu zarówno Clive, jak i Colin dobrze się uczyli i wyszli na ludzi. Laura pomyślała, że jej samej też się chyba udało...

- Zaraz zajrzę do mojego notesu, poczekaj... Chyba będę mogła przyjść na mecz, ale na przyjęciu już nie zostanę.

- Szkoda, zapowiada się niezła zabawa. Na pewno nie możesz się zerwać z dyżuru?

- To sobotni wieczór i wszyscy wyjeżdżają z miasta, ktoś musi zostać.

Wiedziała, że ten ostatni argument przekona Sal. Ciotka nie wyobrażała sobie, jak można koniec tygodnia spędzić w domu.

- Racja. Masz fatalny zawód. Zamiast zostać pielęgniarką, trzeba było kręcić interes ze mną. Fryzjerstwo to dobra rzecz. Tak czy inaczej, wpadnij rano, pomożesz mi robić kanapki.

- Dobrze, wpadnę, jeśli tylko będę mogła. A teraz muszę już kończyć, Sal, wołają mnie. Do zobaczenia w sobotę.

- Całuski, Larry, od nas wszystkich.

Od wszystkich... Laura wiedziała, że bardzo ją kochają. Ona też ich kochała, ale nie potrafiła żyć ich życiem. Dla nich wszystko obracało się wokół klubu rugby. A dla niej nie, już nie...

- Czy to kawa tak ślicznie pachnie?

Radosny nastrój gdzieś się ulotnił i widok Johna nie sprawił jej spodziewanej przyjemności.

- Zaraz ci naleję, na razie poczęstuj się ciasteczkami.

W oczach Johna dostrzegła cień zaskoczenia; był wyraźnie zdziwiony zmianą, jaka w niej zaszła. Atmosfera w niewielkim pomieszczeniu zrobiła się duszna i Laura wiedziała, że dzieje

się tak z jej winy.

Musiła jakoś to rozładować. John jest dobrym lekarzem, miłym człowiekiem, czarującym mężczyzną i nie ma powodu, żeby znosił jej humory. Nade wszystko nie chciała, by pomyślał, że jest jedną z tych kapryśnych kobiet, których zmienne nastroje sprawiają, że absolutnie nie nadają się do pracy wśród chorych.

- Właśnie miałam telefon z domu - wyjaśniła mu z wysiłkiem. - Wiesz, jak to jest, rodzina to niezbyt łatwa rzecz.

Sądziła, że John przyjmie jej wyjaśnienie bez zbędnego dociekania, po prostu jako wymówkę, którą można wziąć za dobrą monetę. On tymczasem potraktował jej słowa niezwykle poważnie.

- To prawda, rodzina to skomplikowana sprawa, ale też bardzo pożyteczna. Pomyśl, czym jest rodzina dla chorego dziecka. Jak wiesz, jedynie bardzo mały procent matek nie sprawdza się w przypadku dzieci chorych na cukrzycę. Większość doskonale daje sobie radę. Matki błyskawicznie uczą się robić zastrzyki, skrupulatnie przestrzegają diety dziecka, dostrzegają każdy niepokojący objaw. Przecież to nadzwyczajne. Dla ciebie lub dla mnie zrobić zastrzyk to nic wielkiego, ale wyobraź sobie młodą kobietę, która nagle musi wbić igłę w ciało swojego dziecka. Kiedy widzę takie matki, po prostu serce mi rośnie.

Słowa Johna speszyły ją. Wiedziała, że John ma rację, a jej problemy z Sal i „chłopcami” są po prostu śmieszne. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że John jest niezwykle ciekawym człowiekiem. Jest nie tylko dobrym lekarzem; jest człowiekiem w całym tego słowa znaczeniu.

Siedzieli po obu stronach biurka, pijąc kawę, i Laura ze zdumieniem spostrzegła, że cały zły nastrój gdzieś się ulotnił. John działał na nią kojąco, podobnie jak na dzieci w szpitalu.

Zobaczyła uśmiech na jego twarzy i wyczuła, że zaraz padnie pytanie o jej rodzinę. Postanowiła go uprzedzić.

- Opowiedz mi coś o swojej rodzinie - rzekła, sadowiąc się wygodniej.

- Chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie? - zapytał i wiedziała, że zrozumiał, dlaczego o to poprosił. - Naprawdę cię to interesuje?

Tak, pomyślała, naprawdę. Chcę się o tobie dowiedzieć czegoś więcej, chcę wiedzieć... wszystko.

- Pomyślałam, że skoro oboje mamy chwilę czasu, moglibyśmy porozmawiać.

John dolał sobie kawy i przez chwilę milczał. Może niedobrze zrobiła? Wiedziała, że nie każda rodzina nadaje się na temat do rozmowy.

- Moi rodzice jeszcze pracują - zaczął John. - Mieszkają w Afryce, w miejscowości Anwaro. Jest tam gorąco, niezdrowo i niebezpiecznie. Ojciec jest dyrektorem administracyjnym miejscowego szpitala, a matka - pielęgniarką.

- Masz rodzeństwo?

Pokręcił przecząco głową.

- Niestety nie. Moi rodzice wcześniej oddali mnie do szkoły z internatem. Bardzo zazdrościłem innym dzieciom, bo rodzice odwiedzali je częściej niż mnie. Nie byłem nie-szczęśliwy: byłem dobrym uczniem, odnosiłem sukcesy w sporcie, ale czegoś mi brakowało.

- Dlatego postanowiłeś zostać pediatrą?

- Chyba tak. Bardzo lubię dzieci, a wiem, że ludzie, zwłaszcza bogaci, często je zaniedbują. Zamilkł, a ona pozwoliła mu milczeć.

- Wiesz - podjął wreszcie - my tutaj w szpitalu wykonujemy tylko część pracy. Cała reszta należy do rodziców, bo ich rola zawsze, w chorobie i zdrowiu, jest najważniejsza.

Przez chwilę oboje milczeli. Potem John lekko się poruszył i zaczął wyjaśniać.

- Nie zrozum mnie źle. Moi rodzice bardzo mnie kochali i dbali o mnie, ale ponieważ nie było ich przy mnie, kiedy byłem mały, teraz jest między nami bariera, której nie możemy przekroczyć. Wiemy o tym, martwi nas to, ale nic z tym nie możemy zrobić. Może jeśli sam kiedyś będę miał dzieci, zbliżymy się do siebie na nowo.

Była zdumiona i bardzo szczęśliwa: John otworzył przed nią serce, powiedział jej o rzeczach, o których nie mówi się komuś obcemu.

- Nie masz żony - powiedziała powoli. - Dlaczego?

- Proszę mi nie stawiać zanadto osobistych pytań, siostró McLeod - odparł z komiczną powagą.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Przepraszam, wiem, że to nie moja sprawa.

- Nie szkodzi. Zaraz ci odpowiem. Po pierwsze, zawsze byłem ogromnie zajęty, po drugie... Miałem ostatnio kogoś. To było bardzo poważne, kochałem ją, ale ona nie była w stanie dać mi tego, czego pragnę. Rozstaliśmy się jednak w przyjaźni i utrzymujemy ze sobą kontakt. Myślę, że ślub, a zaraz potem rozwód nie mają sensu. Najpierw trzeba mieć pewność, że związek będzie trwał.

Powiedział to tak zwyczajnie, że Laura zamyśliła się. Swoimi słowami potwierdził wszystkie jej opinie. Był dobry, mądry, stanowczy i niezwykle wrażliwy. Dowiedziała się o nim bardzo dużo, ale chciała wiedzieć o wiele więcej. Dlaczego tamta kobieta go zostawiła?

Dopiero po chwili ogarnęła ją panika. Szczerłość za szczerłość. Podobne wyznanie wymaga rewanżu. Sama się w to wpakowała! Teraz John oczekuje, że ona powie mu coś o sobie, a ona... ona nie ma wcale takiego zamiaru.

Poczuła jego dłoń na swojej ręce.

- Bardzo bym chciał wiedzieć o tobie wszystko - oznajmił cichym głosem, jakby czytał w jej myślach - ale jeśli nie chcesz mówić, nie będę nalegał.

- Nie, nie - zaprzeczyła - po prostu w moim życiu nie ma nic ciekawego. Jak wiesz, wiele osób nabywa mnie Larry. To dlatego, że...

- Pan doktor jeszcze tutaj? Stało się coś?

Laura uniosła oczy. Nad biurkiem stała Ellen Bates, jej zmienniczka. Spojrzała na zegarek. Czy to możliwe, że upłynęło już pół godziny?

- Nic się nie stało - odparł John, wstając. - Zajrzałem tylko do Petera Ellisa, a potem wpadłem tutaj na wspaniałą kawę. - Spojrzał na Laurę. - To był męczący dzień, chyba pójdę do baru na drinka - powiedział i pożegnał się z nimi.

Ellen z aprobatą powiodła za nim wzrokiem.

- Gdyby tak do mnie wpadł na kawę... Ty to masz szczęście, dziewczyno.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Laura i gorliwie pochyliła się nad papierami. - Weź sobie kawy, a

ja skończę to moje wypracowanie.

Na szczęście nie zobaczyła uśmiechu koleżanki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wyszła ze szpitala i uczciwie przyznała przed samą sobą, że ma ochotę iść do baru i spotkać się z Johnem.

„Bar Smoka” przeznaczony był jedynie dla personelu medycznego. Znajdował się w najstarszej części zabudowań, w miejscu dawnych stajen lorda Seddona.

Przed drzwiami lokalu zawahała się. Nie wierzyła w takie rozładowywanie stresu, chciała jednak porozmawiać z Johnem. Miała wrażenie, że przzerwano im w pół słowa. W końcu pchnęła ciężkie mahoniowe drzwi.

John siedział blisko wejścia. Na jej widok wstał i uśmiechnął się.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłaś. Miałem nadzieję, że to zrobisz, i zamówiłem ci drinka.

- Wpadłam tylko na chwilę - powiedziała i poczuła się niezręcznie.

John podsunął jej krzesło i poczekał, aż usiądzie.

- Ja też jutro pracuję, ale na razie... Kelner zapewnił mnie, że ten saumur jest bardzo dobry. Spróbuj.

Laura umoczyła usta w białym winie.

- Doskonale. A ty co pijesz?

- Próbuję tutejszego piwa. Na północy jest o niebo lepsze.

Laura nie lubiła mężczyzn pijących piwo. John podsunął jej orzeszki i sam sięgnął do talerzyka.

- Bardzo jestem ciekaw - rzekł z namysłem - jak to się stało, że tak piękną kobietę ktoś nazwał Larry. Chciałbym się o tobie dowiedzieć wielu rzeczy, ale skóro nie masz ochoty o tym mówić, to nie mów.

Fakt, że John nie nalega, ośmielił ją.

- Może w mojej przeszłości są sprawy, do których nie chciałabym wracać?

- Wiem z doświadczenia, że to, co ludziom wydaje się straszne, robi się całkiem zwyczajne, kiedy zdecydują się o tym komuś powiedzieć.

Straszne, właśnie to jest odpowiednie słowo; jej sekret jest... straszny.

Laura sięgnęła po kieliszek.

- Po pierwsze, jestem dzieckiem z nieprawego łóża.

Zapadła cisza.

- Czekasz na mój komentarz? - zapytał po chwili.

- Tak.

- Uważam, że mówienie, że nowo narodzone dziecko ma związek z jakąś nieprawością, jest kompletną bzdurą. Rodzice mogą być ludźmi prawymi albo nie, jednak dzieci to nie obciąża.

- Masz rację - powiedziała - mimo to czasem jest mi z tym bardzo ciężko.

John spokojnie czekał na jej dalsze słowa.

- Bardzo kochałam moją matkę, ale zmarła na raka mózgu, kiedy miałam pięć lat.

- Pamiętasz ją?

- Jak przez mgłę. Pamiętam poczucie bezpieczeństwa.

- A potem?

- Wzięła mnie do siebie starsza siostra mojej matki. Była rozwódką, miała trzech synów.

Oni właśnie nazwali mnie Larry.

- Jak czwartego chłopaka w rodzinie?

- Bardzo mnie kochali...

- Tylko nie mogli zrozumieć, że masz własne życie?

Laura pokręciła głową.

- Skąd wiesz?

- Zapomniałaś, że na co dzień obcuję z dziećmi. Nieraz muszę wołać na pomoc psychologa.

- Ja nie potrzebuję żadnego psychologa! - zachnęła się.

- Oczywiście, że nie. A teraz opowiedz mi coś o ojcu.

- Nigdy go nie widziałam. Umarł, kiedy miałam siedem lat. Sal, moja ciotka, mówiła, że świat zrobił się lepszy, odkąd z niego zniknął.

John uśmiechnął się.

- Musi być niezła ta twoja ciotka, chciałbym ją poznać.

Udała, że nie dosłyszała.

- Sal chciała, żebym została fryzjerką, ale ja zawsze marzyłam o pracy pielęgniarki.

Banalna historia.

- Tak - powiedział z namysłem - zwykła historia. Tylko dlaczego mam wrażenie, że jest coś jeszcze?

- Masz bujną wyobraźnię. - Uniosła kieliszek i wysączyła wino do dna. Powinna już sobie iść.

- Czy myślisz, że wszyscy mężczyźni są podobni do twojego ojca? Dlatego żyjesz tak samotnie? Taka piękna dziewczyna?

Wzruszyła ramionami,

- Wcale nie jestem samotna. Jestem bardzo zajęta.

- Poza pracą jest coś jeszcze.

- Nie przepadam za facetami, którym się wydaje, że świat do nich należy - wymknęło jej się, i natychmiast tego pożałowała. - I wcale nie jestem piękna - dorzuciła.

John nie zwrócił! uwagi na pierwszą część jej wypowiedzi.

- Owszem, jesteś.

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać od stolika.

- Na mnie już czas. A ty napijesz się jeszcze czegoś?

- Tylko pod warunkiem, że będziesz mi towarzyszyć. W przeciwnym razie odprowadzę cię do domu.

- Sama trafię, to bardzo blisko...

Z opresji wybawił ją czyjś zdyszany głos:

- Wszędzie cię szukam, John... - W drzwiach baru stał doktor Mick Lally. - Miałeś rzucić okiem na mój referat... O, przepraszam, witam siostrę.

Laura zerwała się na równe nogi.

- Waśnie wychodziłam. Siadaj, Mick. Do widzenia.

Zanim John zdążył coś powiedzieć, wstała i poszła w stronę drzwi.

Na pewno pomyślał, że się na niego obraziła.

- Do zobaczenia - powiedział, unosząc się z krzesła; Laura szybkim krokiem poszła do siebie. Powiedziała mu prawdę, ale nie całą. Dlaczego? Ktoś taki jak John na pewno by ją zrozumiał. Dziwne było tylko to, że przez całe cztery lata nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby komuś o tym powiedzieć.

Następnego dnia była znowu sobą, tak jakby poprzedni dzień nie pozostawił po sobie najmniejszego śladu. Miała asystować przy badaniu dzieci z cukrzycą, które regularnie zjawiały się w szpitalu na kontrolę stanu zdrowia.

David Miller uważał, że chodzi nie tylko o badania. Jego klinika miała być przede wszystkim przyjaznym miejscem, gdzie chore dziecko i jego opiekun będą się czuli jak w domu. Laura lubiła dni przyjęć, bo czuła się potrzebna. Pobierała krew do analizy, oglądała gardła, pocieszała i trzymała za rękę.

Pewna dziewczynka próbowała sama opanować sztukę robienia zastrzyków. Początkowo jej matka nie chciała się na to zgodzić, ale w końcu - widząc, że mała radzi sobie lepiej od niej - uległa. John uważnie przyglądał się dziewczynce, pokazując jej, jak trzymać strzykawkę, gdzie i pod jakim kątem wbijać igłę. Po udanej próbie mała pacjentka uniosła na niego oczy:

- Jasne jak słońce - powiedziała z zadowoleniem i wszyscy się roześmieli.

Przyjemnie było spotykać dzieci, które mimo choroby żyły normalnym życiem. Brakowało tylko chłopca nazwiskiem Brent.

- Musiało się coś stać - powiedziała Laura do Johna i zajrzała do notesu. - Zawsze przychodził z matką, ale teraz ona jest w szpitalu psychiatrycznym.

- Możemy zadzwonić.

Dobrze pamiętała tego chłopca: drobny, wiecznie przestraszony dziewięciolatek, kurczowo trzymający za rękę równie spłoszoną matkę.

- Mieszka chyba w Crack City.

Wystukała numer i po chwili dobiegł ją nieco schrypnięty męski głos.

- O co chodzi?

Oficjalnym tonem wyjaśniła, że dzwoni ze szpitala i chce się dowiedzieć, z jakiego powodu Barry nie zgłosił się na badanie.

- Nie poszedł, bo nic mu nie jest.

- Powinien przyjść, lekarz musi go zbadać.

- Badał go doktor Spencer Do widzenia.

Laura powolnym ruchem odłożyła słuchawkę. Nie czuła złości. W swej pracy nieraz spotykała się z takimi ludźmi.

„Badał go doktor Spencer”. To zaniepokoiło ją najbardziej: o doktorze Spencerze nigdy nie słyszała dobrego słowa.

Postanowiła spróbować. Połączyła się z jego prywatnym gabinetem i wyjaśniła sekretarce, w jakiej sprawie dzwoni. Po kilku minutach sekretarka oddzwoniła i poinformowała, że rozmawiała z doktorem Spencerem i że wszystko jest w porządku.

- Ten chłopiec jest w niebezpieczeństwie, John, musimy coś zrobić.

John spojrział na nią.

- Dziecko ma domowego lekarza i to on ocenia aktualny stan pacjenta.

- Wiem.

Objął ją i podprowadził do okna.

- Tam, w tym pawilonie, robi się naświetlania i ratuje dzieci, które mają raka. A obok stoją ludzie i palą papierosy. To walka z wiatrakami.

Pragnęła, by nie zabierał ręki z jej ramienia; czuła się przy nim bezpieczna i spokojna.

- Jedno tylko możemy zrobić - dodał cicho. - Nie zagubić w tym wszystkim siebie.

- Chyba tak.

Tego dnia skończyli wcześniej, bo John miał jeszcze konsultacje. Kiedy się żegnali, spojrział na nią znacząco.

- Bardzo było miło wczoraj posiedzieć sobie razem.

Szybko umknęła do swojego pokoju, przebrała się i pojechała autobusem do Crack City.

Dzielnica była obskurna. Laura szła przed siebie, nie wiedząc, po co przyjechała i dokąd ma iść. Szczęście jednak jej dopisało. Pod szkołą, na tle zapisanego sprayem muru, dostrzegła małego Brenta. Podeszła do niego szybkim krokiem.

- Barry, to ja, poznajesz?

- Dzień dobry - bąknął chłopiec, nie patrząc na nią.

- Miałeś dzisiaj być w szpitalu, zapomniałeś?

- Zawsze wozila mnie mama, ale teraz ona nie może, a tata mówi, że to zawracanie głowy - odparł chłopiec ledwo dosłyszalnym głosem.

Z trudnością go poznawała. Dawniej robił wrażenie po prostu nieśmiałego, ale teraz przypominał spłoszone zwierzątko.

- Spójrz na mnie - poprosiła łagodnie i chłopiec uniósł na nią oczy. Na twarzy miał wielką szramę. - Co ci się stało?

Szybko spuścił głowę.

- Przewróciłem się - szepnął.

Przez chwilę milczał, a potem podniósł głowę i szepnął z nadzieją w głosie:

- Czy przyszedła pani zabrać mnie do szpitala?

Laura westchnęła.

- Nie, Barry.

Chłopiec spuścił głowę i odszedł, powłócząc nogami.

Nazajutrz zjawiała się na oddziale o świcie. Prześladował ją widok posiniaczonego chłopca, oddalającego się wolnym, zmęczonym krokiem.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale chyba muszę. Inaczej zamartwisz się na śmierć - rzekł John, przerywając jej posępne rozmyślenia. - Widzę, że coś cię dręczy. Zrób mi kawę. Usiądziemy i wszystko mi opowiesz.

- Skąd wiesz, że coś mnie dręczy? - zapytała zmieszana.

- Bo uważnie cię obserwuję...

Zrobiła kawę, usiadła i wszystko mu opowiedziała.

- Niepokoisz się o chłopca - zauważył, kiedy skończyła. - Nie możesz o tym zapomnieć... Czy mi przyrzekniesz, że nic nie będziesz w tej sprawie robić, jeśli ja postaram się coś zaradzić?

- A co zamierzasz?

- Nie pytaj, bo nie wiem, czy mi się uda - odparł.

Przez następne dwa dni prawie go nie widziała. Trzeciego dnia, kiedy rano przyszła na oddział, zastała wpis nowego pacjenta: Barry'ego Brenta.

- Kto przyjął Barry'ego?

- Było z tym trochę kłopotu - odrzekła siostra dyżurna - ale w końcu się udało. Chłopiec miał w domu bardzo złe warunki. Postanowiliśmy wziąć go na obserwację. Jest z tego tak zadowolony... Zresztą, zobaczysz sama.

Wiedziała, jaki jest Barry. Posłuszny i przygaszony jak ktoś, kto wiele wycierpiał. Przez chwilę przyglądała się chłopcu, sama nie będąc widziana. Miał poszarzałą, zmęczoną twarz i smutne spojrzenie.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział ktoś za jej plecami.

Obejrzała się i ujrzała Johna.

- Wiesz, ponieważ myślisz to samo.

John skinął głową.

- Jak go tutaj sprowadziłeś? - zapytała.

- To nie ma nic wspólnego z medycyną...

- Powiedz, proszę!

- Tak się szczęśliwie składa, że mam kolegę w tutejszej policji. Ma wystarczająco wysokie stanowisko, żeby zamknąć każdego, zwłaszcza jeśli ten ktoś maltretuje dziecko i handluje narkotykami.

- Jak na takiego spokojnego faceta, jesteś bardzo skuteczny - powiedziała. - Podoba mi się to.

Wiedziała, że prędzej czy później John znowu ją gdzieś zaprosi. Zachowywał się w stosunku do niej zupełnie inaczej niż wobec reszty współpracowników.

Sprawiło jej to przyjemność. Czowała się przy nim bardzo dobrze i tęskniła za nim, kiedy go nie widziała, lecz nadal nie miała pewności, czy może mu ufać.

John zaprosił ją w dość oryginalny sposób. Wszedł do pokoju, w którym siedziała, i położył przed nią dwa bilety.

- Sprawdziłem w grafiku, masz piątkowy wieczór wolny. W filharmonii grają Czajkowskiego. Pójdziemy razem.

- Skąd wiesz, że lubię Czajkowskiego?

- Kiedy dzwoniłem do ciebie po raz pierwszy, słyszałem w tle jego muzykę.

- Pamiętasz to jeszcze?

- Ja wszystko pamiętam - oznajmił z uśmiechem i Laura odwróciła wzrok.

Zerknęła na bilety leżące na biurku. Miejsca były bardzo dobre.

- To miło z twojej strony, ale ja... nie umawiam się z mężczyznami.

Spojrzał na nią niewinnym wzrokiem.

- To nie randka, to koncert. Przyjemniej jest słuchać muzyki w towarzystwie, a nie samemu.

Pokusa była spora.

- Kupiłeś już bilety... Pewno są drogie.
- Miałem nadzieję, że zechcesz ze mną pójść, a jak nie... wezmę siostrę Billings.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Siostra Billings pracowała na oddziale od niedawna. Była bardzo miła i bez przerwy mówiła o hard rocku. - Dzięki temu miała doskonały kontakt z młodymi pacjentami, ale trudno ją sobie było wyobrazić w filharmonii,

John wyczuł wahanie Laury i postanowił kuć żelazo póki gorące. Pochylił się i powiedział tajemniczym głosem:

- Jeśli się zgodzisz, kupię ci pudełko czekoladek i będziesz sobie mogła szeleścić papierkami przez cały czas...

- Dobrze, w takim razie pójdę z przyjemnością.
- Wobec tego uciekam, bo jeszcze się rozmyślisz.

Pojawił się nowy problem: nie miała w co się ubrać. W jej szafie wisiały głównie spodnie i swetry. Miała tylko jedną sukienkę, którą kupiła kiedyś na urodziny koleżanki. Zeszła na dół pokazać się siostrze Joan Peet.

Ta zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem.

- Takich rzeczy już się nie nosi. Zwłaszcza na randkę.
- Nie idę na żadną randkę - obruszyła się Laura.
- Zdejmij to i przymierz moją.

Laura posłuchała i spojrzała w lustro.

- Teraz wyglądasz jak trzeba.
- Przecież nie mogę iść tak ubrana!

Sukienka była czerwona i obcisła. Laura wyglądała w niej znakomicie. Przez chwilę poczuła żal: bardzo chciałaby być dziewczyną, która nosi takie sukienki.

- To nie w moim stylu. Masz może jakiś pasek albo chustkę, żeby mogła czymś ożywić moją suknię?

Joan z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Mam tu gdzieś czerwony pasek, możesz spróbować. I tak dobrze, że w ogóle raczysz z kimś wyjść. Można zapytać, z kim i dokąd się wybierasz?

- Idę na koncert... z Johnem.
- Z doktorem Hawkiem! Niejedna ci pozazdrości. Słyszałam, że inne dziewczyny też próbowały się za niego wziąć, ale wymykał się jak piskorz.
- Wcale się za niego nie wzięłam, jesteśmy tylko...
- Nie mów mi, że jesteście tylko kolegami z pracy, bo pękne ze śmiechu...
- Ale tak właśnie jest.

Laura pożałowała, że do niej przysła. Wiedziała, że żadna wiadomość nie pozostanie długo w murach tego budynku. Pielęgniarki plotkowały jak stare kumoszki. Jutro cały szpital dowie się o wszystkim. Szybko złapała czerwony pasek i uciekła do swojego pokoju.

John miał przyjechać po nią o siódmej. Od wpół do siódmej siedziała gotowa do wyjścia, patrząc przez okno na podjazd. Kiedy zobaczyła jego samochód, szybko zbiegła na dół, żeby nie zapraszać go do pokoju.

- Nie trzeba było po mnie schodzić - powiedział - przecież bym trafił.
- Lubię wychodzić punktualnie. Zresztą nie chciałam, żebyś się fatygował.
- Nie fatygujesz mnie zbyt często.
- Lepiej już chodźmy, robi się późno.

W filharmonii było bardzo uroczyście i Laura poczuła, że dobrze zrobiła, wkładając wieczorową suknię. John miał na sobie ciemny garnitur i białą koszulę. Gdyby nie barwny krawat, wyglądałby bardzo poważnie.

- Masz ładny krawat...
- Też coś! Ładny! Przecież ten krawat jest tu najważniejszy! Taki garnitur może włożyć każdy lekarz w mieście, ale krawat... Przecież to krawat a la lord Byron! Wiesz, co to znaczy? Że jestem bardzo niebezpieczny...

Laura wybuchnęła śmiechem.

- Czy nie za dużą wagę przywiązujesz do skrawka materiału?

John pomógł jej zdjąć płaszcz i spojrzał na nią z podziwem.

- Zawsze widziałem cię tylko w stroju pielęgniarki albo na sportowo w parku. Muszę przyznać, że jestem olśniony.

Może jedwabna, granatowa sukienka rzeczywiście dobrze na niej leży... Delikatny materiał wdzięcznie opływał zgrabną, szczupłą sylwetkę. Ze zdumieniem zauważyła, że inni mężczyźni również zatrzymują na niej wzrok.

- Wyglądasz cudownie - szepnął John. - Wiem, że to banalnie brzmi, ale to prawda.
- Znajdźmy nasze miejsca - zaproponowała wmieszana.

Usiedli i John podał jej obiecane pudełko czekoladek.

Przyjęła je z uśmiechem i położyła sobie na kolanach. Potem rozległy się dźwięki muzyki i czekoladki pozostały nietknięte do końca koncertu.

Czuła, jak łzy wzruszenia napływają jej do oczu. Kiedy kątem oka spojrzała na Johna, spostrzegła, że równie mocno jak ona przeżywa muzykę. Siedział zasłuchany, jakby świat dokoła niego przestał istnieć. W pewnej chwili ujął ją za rękę i siedzieli tak, zasłuchani, do końca.

Po koncercie rozległy się głośnie brawa. Po trzykrotnych bisach wstali i skierowali się ku wyjściu. John położył rękę na jej ramieniu.

- Dokąd pójdziemy na kolację? Pokręciła przecząco głową.
- Nie jestem głodna, mam w głowie tylko muzykę.
- Ja też. Może w takim razie gdzieś się przejedziemy.
- Bardzo chętnie.

John prowadził samochód spokojnie i szybko. Nie wymuszał pierwszeństwa, był uprzejmy, ale swoje prawa egzekwował z żelazną konsekwencją.

Wyjechali z miasta i zatrzymali się na wzgórzu, skąd rozciągał się wspaniały widok. Spojrzeli na migocące w dali światła.

W samochodzie było ciepło i przytulnie. Laura poczuła, że jest jej bardzo dobrze.

- Dziękuję, że mnie zabrałeś na ten koncert.
- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Tak... - powiedziała - zawsze jest przyjemniej słuchać muzyki w czyimś towarzystwie.
- Nie w każdym, mnie chodziło właśnie o ciebie.

Objął ją lekko i dotknął ręką jej policzka. Zesztywniała, ale po chwili rozluźniła się i przechyliła głowę, przymykając oczy. Słyszała dalekie odgłosy miasta i wiatr wiejący na zewnątrz. Jego dłoń na jej skórze była jak pieczywa. Czowała, jak bije jego serce. Nie chciała, żeby ją całował.

On jednak zrobił to, czule i delikatnie. W jego pocałunku było wszystko. Zapowiedź tego, co on może jej dać, i wyznanie, że ona ma nad nim ogromną władzę. Kiedy przytulił ją mocniej, zrozumiała, że chce z nim być. Znalazła się w innym wymiarze wśród wrażeń i uczuć, których nie знаła. A wszystko to za sprawą jednego pocałunku... Co by się stało, gdyby...

Ta myśl podziała na nią jak zimny prysznic. Przestała marzyć i skuliła się jak pod technieniem zimnego powiewu. Zadrzała. Nie musi mu niczego wyjaśniać. On zrozumie.

Odsunęła się od niego z poczuciem winy, on jednak nie wypuścił jej ręki. Trzymał ją w dłoniach, jakby chciał ich ciepłem rozgrzać nagły chłód, który ją ogarnął.

- Przepraszam - szepnął bez cienia wyrzutu w głosie. - Byłem zbyt szybki, przepraszam, jeśli cię uraziłem.

W jego głosie było tyle czułości, że poczuła, iż za chwilę się rozplacze.

- To moja wina, to ja cię przepraszam - wyjąkała. - Ja po prostu... niezbyt dobrze się czuję w takich sytuacjach.

- Rozumiem.

Wiedziała, że nie rozumie, bo nie pomogła mu zrozumieć, ale była wdzięczna, że nie domaga się wyjaśnień.

- Bardzo cię lubię - powiedziała przepraszająco - i bardzo chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi. A teraz... czy mógłbyś mnie odwiedzić do domu?

- Zrobię, co tylko zechcesz.

Wyjechali z powrotem na drogę prowadzącą do miasta. W samochodzie panowała trudna do zniesienia cisza. W pewnej chwili John położył rękę na jej ramieniu.

- Głowa do góry, siostrzyczko McLeod, wieczór przecież był udany. I... bardzo mnie lubisz.

- Tak - przyznała poważnie - ale...

Uściskał jej rękę.

- Nic więcej nie mów. Poczekam. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję.

Nie miała jednak takiej nadziei i wiedziała, że nic nie będzie dobrze. Było jej go żal i było jej żal samej siebie. Kiedy podjechali pod dom, podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Jeszcze raz ci dziękuję. Gdybyś chciał wejść na kawę...

- Za nic w świecie.

Odprowadził ją pod same drzwi.

- To był naprawdę przyjemny wieczór - oznajmił. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu gdzieś razem pójdziemy.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale! Dobranoc, śpij dobrze.

Patrzyła w ślad za nim, tak jakby był oddalającym się marzeniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Obudziła się z przekonaniem, że spotkało ją coś dobrego. Leżała w łóżku, uśmiechając się do siebie. Nie bardzo potrafiła określić powód swojej radości. Nawet wspomnienie tego, jak zakończył się poprzedni wieczór, nie było w stanie zepsuć jej nastroju. John jest nadzwyczajny i na pewno już jej przebaczył. Wszystko zostanie po staremu.

Dopiero po dłuższej chwili zwróciła uwagę na szarość za oknem. Ciemne chmury pokrywały niebo, padał deszcz. Przyjemny nastrój gdzieś się ulotnił.

Szybko się ubrała i poszła na stację, skąd odchodziły pociągi do Glimour, miejsca, gdzie się wychowała. Była to urocza willowa dzielnica, zamieszкана przez ludzi zamożnych. Laura nie znosiła tego miejsca: właśnie tam znajdował się klub rugby.

Do rodzinnego domu weszła od strony kuchni. Na jej widok Sal zerwała się z krzesła.

- Nareszcie! Jak się miewasz, Larry? Naprawdę dawno cię nie widziałam. - Obrzuciła ją baczny spojrzeniem. - Wyglądasz doskonale.

Laura ucałowała ciotkę.

- Przepraszam, że tak długo nie zaglądałam.

- Mam mnóstwo roboty, sama widzisz, co się tu dzieje. Na kuchennym stole piętrzyły się stosy bułek, sałaty, szynki i sera. Sal, jak zwykle, robiła kanapki na sprzedaż. W klubie panowały tradycyjne przekonania co do roli kobiety; w dniu meczu panie przygotowywały kanapki.

Laura bez słowa zabrała się do pracy. Ile to już razy pomagała przy kanapkach...

Sal zerknęła na nią spod oka.

- I jak tam? Mamy jakiegoś faceta? Dawno nie było w naszej rodzinie ślubu...

Laura uśmiechnęła się.

- Z nikim się jeszcze nie zaręczyłam, ale jeśli chcesz wiedzieć, byłam wczoraj z pewnym mężczyzną na koncercie. To lekarz z naszego szpitala. Nowy.

- Naprawdę? Kiedy mi go przyprowadzisz?

Laura wzruszyła ramionami. Sal nigdy się nie zmieni.

- Tylko się przyjaźnimy.

- Trudno, widać muszę jeszcze poczekać. To cud, że w ogóle z kimś się umówiłaś.

- Mam dużo pracy - wyjaśniła Laura. - Nie mam czasu na głupstwa.

Sal jakby jej nie słyszała.

- Trzeba coś zrobić z twoimi włosami... Wpadnij do mnie któregoś dnia.

Laura spojrzała na nią z uśmiechem.

- Pamiętasz, jak mnie ufryzowałaś kiedyś do szkoły?

- Pewnie, wezwała mnie wychowawczynie i powiedziała, że taka fryzura jest zupełnie nieodpowiednia dla dziewczynki w twoim wieku, a potem przyszła do mojego salonu i kazała sobie zrobić identyczną.

Napłynęły wspomnienia, dobre i bolesne.

- Stale do mnie przychodzi - ciągnęła Sal - i zawsze czesze się tak samo. Pyta o ciebie, bardzo cię

lubiła. Nie chcesz, żebym cię uczesała? Masz takie wspaniałe włosy, mogłabyś o nie bardziej dbać.

- Przrzekam, że pozwolę ci się uczesać do ślubu. A gdzie jest Robert?

- Gdzie ma być? W klubie. Nie ma to jak w naszym klubie.

Laura pochyliła głowę. „Nie ma to jak w naszym klubie”, rzeczywiście.

Deszcz wkrótce ustał. Laura odprowadziła ciotkę pod sam klub, ale nie chciała wejść do środka. Znowu ją otoczyły złe wspomnienia. Sal spojrzała na nią, westchnęła, ale nic nie powiedziała. Laura obiecała, że spotka się z bratem po meczu.

Sal wróciła do niej, kiedy gracze wybiegali już na boisko. .

- Widzisz go? Jest tam!

Laura pomachała Robertowi ręką. Był wysoki, szybszy i zwinniejszy niż bracia. Gra się rozpoczęła i Laura utkwiała wzrok w niebie. Rugby zupełnie jej nie bawiło; na niebie działy się znacznie ciekawsze rzeczy. Ciemne chmury zgęstniały i deszcz znów lunął ze zdwojoną siłą. Włożyła kaptur. Gracze szybko pokryli się grubą warstwą błota, ale mecz toczył się dalej.

Sal poddała się pierwsza.

- Trudno, może jestem wyrodną matką, ale niech Robert się tu męczy, a ja pójdę się czegoś napić. Idziesz ze mną?

Laura przecząco pokręciła głową. Lepiej już rozpuścić się w tym deszczu...

Przecież wszystko ma swój kres. Ta bezładna bieranina w błocie też prędzej czy później dobiegnie końca. Schroniła się pod jakimś daszkiem i beznamietnym wzrokiem patrzyła na ciemne od błota sylwetki zawodników. Dwaj stojący obok mej mężczyźni bawili się znacznie lepiej.

- Ten mały Buster jest całkiem niezły - powiedział jeden. - Zobacz, jak on rzuca. A co? Nie mówiłem?

Laurze nie podobały się ich komentarze. Była w nich chęć zwycięstwa za wszelką cenę. I co to ma wspólnego z prawdziwym sportem?

Teraz patrzyła już tylko na Roberta. Sympatia do brata łagodziła nieco bezsens jej pobytu w pobliżu boiska. Jakiś szmer odwrócił w pewnej chwili jej uwagę. Wyżej, na występie pod daszkiem, mościły się dwa gołębie. Przez chwilę obserwowała ich szare łebki.

- Nie podoba mi się to - usłyszała głos jednego z komentatorów. - Grał bardzo ostro, to prawda, ale żeby go tak zaraz... Brzydko to wygląda. Patrz, stary, on się naprawdę nie może pozbierać.

Laura z powrotem przeniosła wzrok na boisko, Na środku, w brunatnej mazi, zobaczyła kłęb splecionych ludzkich ciał. Kiedy zawodnicy zaczęli się podnosić, ujrzała pod nimi jakiś skrzycony kształt... Natychmiast podbiegł trener. Za nim biegł lekarz w rozwianym płaszczu.

- Naprawdę niedobrze z tym małym, zobacz, nawet wezwali doktora...

Laura przerażonym wzrokiem prześliznęła się po zawodnikach, próbując odszukać Roberta. Przecież to niemożliwe, ten nieruchomy kształt w błocie to nie...

- Kto tam leży? - Poczowała, jak w środku niej narasta strach. - Kto to jest, ten ranny?

Stojący obok mężczyzna zwrócił ku niej zgorzone spojrzenie. Tylko baba może nie poznawać zawodników.

- Jak to kto? Ten mały Buster, znaczy się Robert. Zna go pani? - Nawet on dostrzegł jej

przerażenie. - To pewnie nic strasznego, często się przewracają. Dokąd pani...

Laura go nie słuchała. Biegła już w stronę boiska, roztrzucając po drodze ludzi.

Robert leżał na plecach, na jego twarzy malował się strach, w oczach czaił się ból. Obok niego klęczał lekarz. Powiedział coś do telefonu, a potem zwrócił się do tłoczących się nad Robertem ludzi. Z trudem rozróżniała słowa.

- Pogotowie zaraz tu będzie. Niech ktoś po nich wyjdzie.

Głos należał do Johna. Skąd on się tu wziął?

Jeden z graczy z przeciwnej drużyny delikatnie przytrzymał głowę Roberta, by ranny nie mógł nią poruszyć. Robert utkwił przerażone spojrzenie w Laurze.

- Larry, coś ze mną jest. Boli mnie kark, ale nic innego nie czuję. Larry, ja... nic nie czuję... - jęknął.

Wiedziała, co to oznacza: uraz kręgosłupa, przerwane kręgi, paraliż, przykucie do wózka na całe życie, a może nawet... śmierć. Była przecież pielęgniarką.

- Zostałeś mocno uderzony - oznajmiła opanowanym głosem - i jesteś w szoku. Uspokój się i leż, nie wolno ci się ruszać. Zaraz będziesz w szpitalu. - Uklękła w błocie obok niego. - Tylko się nie ruszaj.

,W tej samej chwili poczuła na sobie wzrok Johna.

- Dobrze, że jesteś, pomoc bardzo mi się przyda. Potrzyмай jego głowę. Muszę ją unieruchomić.

Starając się nie myśleć, że ma przed sobą bezwładne ciało brata, Laura spełniła jego prośbę.

- Co tutaj robisz? - zapytał po chwili John.

- Byłam na meczu. To jest mój brat, Robert.

W oczach Johna dostrzegła współczucie.

- Rozumiem - powiedział tylko.

Nie pocieszał jej. Oboje wiedzieli, co oznacza taki uraz.

- Może by go przenieść do pawilonu - zaproponował trener - i tam poczekać na pogotowie.

- Nie, nie wolno go ruszać - powiedział stanowczo John i nikt nie odważył się mu przeciwstawić.

Ktoś przyniósł z szatni koce i Laura pomogła przykryć nimi Roberta. Potem wzięła go za rękę.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze...

Dłoń Roberta leżała w jej ręce bezwładnie, niczym martwy przedmiot. W oddali rozległ się sygnał karetki; wibrujący dźwięk szybko się przybliżał. Po chwili sanitariusze znaleźli się przy Robertcie. Ułożyli go ostrożnie na noszach, unieruchomiwszy przedtem głowę, i wsunęli do karetki.

- Pojadę z nim - oznajmiła Laura. - Niech ktoś pójdzie do baru zawiadomić jego matkę.

- Jadę z tobą.

John wskoczył za nią do karetki i ruszyli. Podróż była koszmarem. Mimo że doświadczony kierowca robił, co mógł, by szybkość pogodzić z bezpieczeństwem pacjenta, Laura umierała ze strachu, widząc bolesne napięcie na twarzy Roberta.

- Ja nic nie czuję... Larry, ja nic nie czuję...

- Nie martw się - szeptała. - Zobaczysz, wyjdiesz z tego, zobaczysz... - zapewniała rannego i jednocześnie samą siebie; słowa brzmiały w jej ustach niczym zaklęcia, w których siłę nikt nie wierzy.

Wystarczy, że został uszkodzony jeden nerw, jeden jedyny nerw...

Twarz Roberta pod warstwą biota była przerażająco blada. Laura wyjęła chusteczkę i delikatnie zaczęła wycierać okolice ust brata. Z jego oczu popłynęły łzy, żłobiąc jasne koleiny w pobrudzonej twarzy.

Wjeżdżali w bramę szpitala, w którym tyle razy przyjmowała chorych. Teraz role się odmieniły: to ona była biedną, przerażoną istotą, sparaliżowaną strachem o los bliskiej osoby. Zniknęła gdzieś cała zawodowa pewność siebie siostry Laury McLeod i jej wiara w medycynę. Była bezsilna i wiedziała o tym.

Przed budynkiem czekał na nich lekarz i pielęgniarka. Roberta niezwłocznie przewieziono na oddział intensywnej opieki medycznej. John pobiegł za nim. Najpierw należało zrobić rentgen; od jego wyniku zależały dalsze losy pacjenta. Laura, z trudem oddychając, siedziała pod drzwiami sali, w której przebywał brat John pojawił się dopiero po dłuższej chwili.

- Nie mogę tu z tobą zostać - rzekł niezadowolony. - Wzywają mnie na oddział.

- Idź. Jestem ci bardzo wdzięczna, że byłeś przy mnie. - Szybko pocałowała go w policzek.

- Nie bój się o mnie, dam sobie radę.

- Zawsze dajesz sobie radę - powiedział i odszedł szybkim krokiem.

Nie zawsze, nie zawsze, pomyślała. Gdybyś wiedział...

W wahadłowych drzwiach ukazał się lekarz i podszedł do niej szybko. Znał ją, wiedział, że jest pielęgniarką, więc od razu przeszedł do rzeczy.

- Poprosiłem doktora Whitrowa o przybycie; będzie tu za pół godziny. Chcesz posiedzieć przy bracie?

- Tak, bardzo.

Wiedziała, że Robert ma najlepszą opiekę i najlepszych lekarzy, a jednak... Doktor Whitrow jest specjalistą o światowej sławie. Jeśli on nie pomoże, Robertowi nie pomoże nikt. O ile w ogóle można mu pomóc...

Weszła za zasłonę, za którą leżał jej brat. Ktoś już umył mu twarz i zdjął z głowy opaskę. Robert w dalszym ciągu był biały jak kreda, wyglądał jak mały chłopiec. Oczy miał zamknięte i Laura pomodliła się w duszy o to, by spał. Teraz nie zniosłaby jego spojrzenia. Jedna z pielęgniarek przyniosła Laurze kubek kawy, pogłaskała ją po ramieniu i wyszła.

Nagle pojawił się doktor Whitrow w towarzystwie pielęgniarek i lekarzy. Uśmiechnął się przelotnie do Laury i pochylił nad pacjentem.

- Chciałbym najpierw zobaczyć zdjęcia rentgenowskie - rzekł i spojrzał na Laurę. - Pani jest pielęgniarką, prawda? Z oddziału dziecięcego?

- Tak - odparta zadowolona, że ją poznał. - A to jest Robert Wilmot.

- Narzeczony?

- Nie. Brat.

- Rozumiem. Przewieziemy go zaraz na salę operacyjną. Będzie pani musiała poczekać, to potrwa jakieś dwie godziny. Zdaje sobie pani sprawę, że to poważny uraz.

- Tak, ale nie wiem... jak bardzo poważny.

Doktor Whitrow jeszcze raz obejrzał zdjęcie.

- Jest tu złamanie i dyslokacja, o tutaj...

- Czy to znaczy...

- Przed operacją nie mogę pani nic powiedzieć. Ale tak poważne urazy kręgosłupa zwykle...

Laura wolnym krokiem poszła w stronę poczekalni. Przyspieszyła gwałtownie na widok Sal i Clive'a, najstarszego brata. Clive sam nie grywał już w rugby, miał dobrą posadę i rodzinę. Był wysoki i potężny, ale Laurze nagle wydało się, że zmałał. Ciotka też nie wyglądała dobrze. Laura nigdy nie widziała jej w takim stanie. Sal, pewna siebie, przebojowa Sal, była kompletnie załamana.

Laura pojęła, że teraz jej przypadła rola opiekunki.

- Wezwano najlepszego specjalistę, ale na razie jeszcze nic nie wiadomo. Roberta przewieziono na salę operacyjną, musimy poczekać. Chodźmy do mojego pokoju.

Sal podniosła na nią przerażone oczy.

- Wszystko będzie dobrze, prawda, Larry?

Laura wiedziała, że dawanie fałszywej nadziei jest takim samym okrucieństwem, jak brutalnie przedstawiona prawda.

- Uraz jest bardzo ciężki, ale Robert ma doskonałą opiekę.

Sal głęboko westchnęła, do jej oczu napłynęły łzy.

- Rozumiem.

Laura zaprowadziła oboje do swojego pokoju i zrobiła herbatę.

- Nie żałujcie sobie cukru - powiedziała. - Musicie się wzmocnić, nie chcę, żebyście mi tutaj pomdleli.

Zadzwoniła do jednej z pielęgniarek i poprosiła, żeby powiadomiono ją natychmiast, gdy tylko doktor Whitrow skończy operację. Zerkając przelotnie na Sal i Clive'a, spostrzegła, że po raz pierwszy patrzą na nią z podziwem. Sytuacja się zmieniła; teraz ona panowała nad sytuacją. Mimo całej grozy poczuła dumę.

Czekali znacznie dłużej, niż to przewidywał doktor Whitrow. Dopiero po trzech godzinach rozległ się telefon. Siostra z intensywnej terapii donosiła, że operacja dobiegła końca. Udali się na oddział i stanęli pod drzwiami. Kiedy ukazał się w nich doktor Whitrow, Laura przedstawiła mu Sal i Clive'a. Uścisnął im dłonie. Wyczuła, że nowiny nie są dobre.

- Robert ma bardzo poważnie uszkodzony kręgosłup. Zrobiłem, co w mojej mocy.

Cierpliwie wyjaśnił co i jak, pokazując rodzinie zdjęcia.

- Ale pan go wyleczy, doktorze... - rzekła Sal z nadzieją w głosie.

Chirurg pokręcił głową.

- Mogłem tylko zapobiec pogarszaniu się stanu pacjenta, na przykład nie dopuścić do zablokowania układu oddechowego. Są jednak granice i medycyna nieraz jest bezsilna.

Zawsze jest szansa, jednak byłoby nieuczciwie z mojej strony wzbudzać u państwa nieuzasadnione nadzieje. Jest mi bardzo przykro, ale pacjent może zostać sparaliżowany.

Sal jęknęła.

- Sparaliżowany... Na jak długo?

Laura знаła odpowiedź, ale nie dopuszczała jej do świadomości.

- Obawiam się, że na całe życie, proszę pani – odparł łagodnie lekarz.

Pielęgniarka zaprowadziła ich do łóżka nieprzytomnego Roberta. Dla Laury widok płataniny rurek był czymś zwyczajnym i na swój sposób krzepiącym. Wiedziała, że w ten sposób ratuje się i podtrzymuje, życie. Dla Sal i Clive'a był to jeszcze jeden szok.

- On nie umrze, prawda? - Sal wczepiła się w ramię Laury, a jej oczy rozszerzył strach.

- Nie - odrzekła Laura - to tylko tak groźnie wygląda. Prawie po każdej operacji pacjentów się monitoruje. Nie mamy tu nic do roboty. Chodźmy.

Clive swoim jaguarem zawiózł je do domu. Laura przez całą drogę trzymała Sal za rękę.

- On nie może... - powiedziała w pewnej chwili Sal - on nie może żyć na wózku. Oszaleje. Przecież wiesz, jaki jest.

- Nie rozpaczaj na zapas - poprosiła ją Laura. - Nie wolno tracić nadziei.

Twarz Sal znieruchomiała.

- Ja wiem, że on nie potrafi tak żyć.

W kuchni usiedli na swoich zwykłych miejscach. Clive zrobił matce drinka. Sal pociągnęła łyk, a potem odstawiła szklankę na brzeg zlewu. Laura przygotowywała herbatę i odpowiadała na liczne telefony. Potem Clive pojechał po żonę, żeby zamieszkać przez kilka dni z Sal.

Po drodze odwiózł Laurę do szpitala. Laura chciała zostać z ciotką, znalazła sobie nawet zastępstwo na wieczór, ale Sal i Clive nalegali, by wróciła do pracy.

- Inaczej niczego się nie dowiemy. Tak wiele od ciebie zależy... Dobrze, że cię mamy.

Nagle zdała sobie sprawę, że tak właśnie jest. Przestała być małą siostrzyczką, którą traktuje się z przymrużeniem oka. Stała się kimś ważnym i odpowiedzialnym; kimś, od kogo wiele zależy. Zrozumiała, że teraz ona może im coś z siebie dać.

Weszła na górę, przebrała się i spojrzała na zegarek. Dopiero wpół do dziewiątej, a jakby upłynął wiek... Wiedziała, że nie potrafi znaleźć sobie miejsca, więc udała się z powrotem na oddział intensywnej terapii.

Robert leżał tak, jak go zostawili, opleciony pajęczyną rurek. Sprawdziła wskaźniki: wszystko było w normie. Posiedziała chwilę przy łóżku brata, po czym postanowiła wrócić do siebie i tylko poprosiła pielęgniarkę dyżurną, by do niej zadzwoniła, gdyby coś zaszło.

Pod drzwiami pokoju Roberta zastała Johna. Siedział na ławce w białych spodniach i swetrze, zupełnie jakby należał do rodziny pacjenta. Na jej widok wstał i bez słowa ją objął. Poczula jego zapach i ciepło. Ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa. Nie mogła jednak stać tak zbyt długo. Odsunęła się i niezdarnym ruchem poprawiła włosy.

- Jak się znalazłeś na boisku? - zapytała zmieszana.

- Podczas każdego meczu musi być lekarz - odparł spokojnie. - Poprosili mnie i poszedłem. Sam kiedyś grałem w rugby.

Jeszcze niedawno takie wyznanie zraziłoby ją do niego. Teraz jednak za dużo się między nimi wydarzyło i przeszła nad tym do porządku dziennego.

- Dziękuję za to, co zrobiłeś dla Roberta - powiedziała. - Już jest po operacji i...

- Wiem, rozmawiałem z doktorem Whitrowem. Byłaś u ciotki?

- To nie jest moja ciotka, to Sal - poprawiła go Laura i zdała sobie sprawę, że powiedziała coś zupełnie bez sensu. - Tak, byłam, ale wysłali mnie tutaj z powrotem.

- Kiedy ostatnio jadłaś?

Głupie pytanie... Piła przecież kawę, herbatę, a potem znowu kawę, ale rzeczywiście, od rana nic nie miała w ustach.

- Za dużo na siebie wzięłaś - rzekł cicho John. – Chcesz ratować rodzinę, bo czujesz, że znalazła się w niebezpieczeństwie. To bardzo szlachetne, ale potwornie trudne.

Nie odpowiedziała, skinęła tylko głową.

- Chodź ze mną.

Posłusznie poszła za nim i wsiadła do samochodu. Do mieszkania Johna było niedaleko, dojechali tam w pięć minut. Prawie nie zauważyła, jak się tam znalazła, zachowała tylko mgliste wspomnienie niewielkiej windy i pełnej roślin klatki schodowej. Potem siedziała na kanapie ze szklanką w ręku. John siedział obok niej.

- To Macallan, jeden z najlepszych gatunków whisky. Jeśli ci nie smakuje, zatkaj nos i wypij jak lekarstwo.

Zrobiła, jak radził, i poczuła się znacznie lepiej. Nawet nie poczuła smaku whisky, ale skutek był natychmiastowy. Wróciła jej jasność umysłu i świadomość tego, co się stało. Robert ma złamany kręgosłup, przez resztę życia będzie kaleką. Przytuliła się do Johna i zapłakała tak rozpaczliwie, jak nie płakała od dzieciństwa.

John siedział nieruchomo i czekał. Od czasu do czasu delikatnie gładził ją po plecach. Kiedy płacz przeszedł w urywane łkanie, podał jej chusteczkę.

- Wytrzymaj nos - powiedział jak do dziecka. Spojrzała na niego zaczerwienionymi od łez oczami.

- Gdzie jest łazienka?

Na swój widok w lustrze nieomal jęknęła. Wyglądała jak upiór czerwone zapuchnięte oczy, błyszczący nos, spierzchnięte usta... Przemysła twarz zimną wodą, uczesała włosy i lekko się umalowała. Kiedy wróciła do salonu, stół był już nakryty. Stała na nim butelka wina i półmisek z łososiem.

- Ja... - wybąkała, ale jej przerwał.

- Najpierw zjedz, a potem sobie porozmawiamy, oczywiście jeśli będziesz chciała.

Nagle poczuła, że jest strasznie głodna. Przełknęła kilka kęsów i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Traktujesz mnie jak pacjenta. Specjalnie dałeś mi whisky, żebym się odprężyła i wypłakała, prawda?

- Nie chciałem, żebyś płakała, ale skoro to zrobiłaś, to chyba dobrze. Byłaś strasznie spięta, przeżyłaś szok. Nie jest dobrze dusić wszystko w sobie; samokontrola też powinna mieć jakieś granice.

Laura milczała.

- Zajmuję się głównie dziećmi. Czasem mają koszmarne przeżycia, jednak wszystko w sobie tłumią; są jak bomby w każdej chwili gotowe wybuchnąć - dodał.

Było jej naprawdę źle. John doskonale odczytał sytuację i pomógł jej. Przez chwilę myślała, że jemu może opowiedzieć... wszystko. Początkowo wydało jej się to niedorzeczne. Przecież to była jej tajemnica, z nikim o niej nie rozmawiała przez cztery długie lata. Ale teraz... Pomysł wydawał jej się coraz bardziej rozsądny. Miała świadomość, jak bardzo tamta

sprawa jej ciąży. A gdyby tak wszystko z siebie wyrzucić? Pokusa była zbyt silna, a John siedział tuż obok.

- Pamiętasz, jak wtedy, kiedy, mnie pocałowałeś, powiedziałam ci, że... no, że nie bardzo lubię takie sytuacje?

- Pamiętam.

- Mam pewien powód. Może ci się to wyda głupie, ale dla mnie to bardzo ważne. Kiedyś coś mi się przytrafiło...

Nie poruszył się, wyczuła jednak jego napięcie.

- Chcesz mi o tym powiedzieć? - spytał łagodnie.

- Chyba tak. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam, a myślę, że powinnam sobie pomóc. To się wydarzyło w klubie rugby, na przyjęciu z okazji majowych rozgrywek...

Był cudowny ciepły wieczór. Bal trwał już od kilku godzin. Tańczono i pito... Laura miała na sobie nową, jedwabną sukienkę. Wyglądała w niej prześlicznie i wszyscy patrzyli na nią z zachwytem. Nigdy potem nie włożyła tej sukienki.

Tańczyła głównie z Erikiem Myersem, najlepszym graczem miejscowej drużyny, gwiazdą klubu, najprzystojniejszym chłopakiem w całym Glimour. Wszystkie dziewczyny szalały za nim, ale Laura zrozumiała to dopiero wtedy, kiedy poszła do toalety i spotkała tam Val Knowles.

W oczach Val dostrzegła zazdrość.

- Jak ci tam leci z naszym idolem? - zasyczała.

- Właśnie przed nim uciekłam - odparła przekornie Laura, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo drażni dziewczynę.

Kiedy wróciła, Erie podał jej szklankę ponczu. Wypiła ją, nie wiedząc, że dołał do środka dwa kieliszki wódki. Zakręciło jej się w głowie, ale nikt nic nie zauważył; tego dnia w klubie wszyscy byli pijani.

Straciła przytomność i odzyskała ją dopiero w małym saloniku przylegającym do sali balowej. Zza ściany dochodziły odgłosy zabawy. Spojrzała na zegarek, było dopiero wpół do drugiej i wszyscy świetnie się bawili. Obok niej siedziała Val i kilka innych dziewcząt. Laura zamrugnęła powiekami.

- Co się stało?

Val wzruszyła ramionami.

- To ty nam opowiedz. Erie przyniósł cię tu i powiedział, że byłaś cudowna.

Laura zbladła.

- Nic nie pamiętam.

Val uśmiechnęła się z fałszywym współczuciem.

- Nie powinnaś mieszać prochów z alkoholem.

- Nie brałam żadnych prochów - jęknęła Laura.

- Brałaś, brałaś, prawie wszyscy brali - rzekła obojętnie Val. - Ale nie przejmuj się, nic się nie stało.

Laura próbowała rozpaczliwie odtworzyć sobie przebieg wydarzeń. Erie musiał jej dodać coś do szklanki. Była pewna, że nie brała żadnych narkotyków, nigdy by tego nie zrobiła.

- Chyba... pójdę do domu - powiedziała bezradnie.

- Tylko zrób coś z włosami, jesteś strasznie potargana! - krzyknęła za nią Val.

Nikt nie zauważył jej wyjścia. Dopiero w zaciszu własnej sypialni ze zgrozą spostrzegła, co jej się przytrafiło. Suknia zapięta była krzywo, tak jakby ktoś ubierał ją w pośpiechu; stanik rozpięty, majtki włożone na drugą stronę, podarte rajstopy. Erie musiał ją rozebrać i... I co? Nie miała pojęcia, co się dalej stało i to właśnie doprowadzało ją do rozpacz. Nic nie pamiętała...

Resztę nocy przeplakała przy zapalonym świetle. Kiedy nad ranem usłyszała kroki, a potem drzwi się uchyliły i ciotka zajrzała do środka, szybko zgasiła lampkę, wśliznęła się pod kołdrę i zamknęła oczy.

- Następnego dnia rano poszłam do lekarza i kazałam się zbadać. To była kobieta. Powiedziała mi, że... jeszcze jestem dziewicą. Od tamtej pory unikam mężczyzn, to silniejsze ode mnie. Przystałam chodzić na mecze i do klubu, dlatego tak rzadko spotykam się z Sal i jej synami.

John milczał. Była mu wdzięczna za to, że nie próbuje zdawkowo jej pocieszać.

- Lepiej ci teraz, kiedy mi to powiedziałaś? - zapytał.

- Tak - odparła szczerze. - Czuję się, jakbym zrzuciła z serca wielki ciężar.

Spojrzał na nią uważnie.

- A ja bardzo się cieszę, że mi zaufałaś. Teraz już nic nie mów, to był najbardziej dramatyczny dzień w twoim życiu.

- Byłeś dla mnie bardzo dobry.

- Chcesz jutro wziąć wolny dzień?

- Nie! - zawołała. - Nie usiedzę sama w domu! Muszę iść do pracy, nic mi nie jest.

- Pewnie masz rację. W takich przypadkach praca jest najlepszym lekarstwem. - Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. - Jeśli chcesz - dodał wreszcie - możesz tu zostać na noc. Ja prześpię się na kanapie w salonie.

Spojrzeli na siebie i swobodny nastrój prysł. Miała ochotę zostać, ale wiedziała, że nie powinna tego robić.

- Chyba raczej wrócę do siebie...

- Jak wolisz. - John wstał i spojrzał na nią. - Zaraz cię odwiozę.

Pocałował ją dopiero przed domem. Pocałunek ten miał być przyjacielski, lecz szybko zmienił charakter. Dopiero po dłuższej chwili John oderwał wargi od jej ust

- Mamy przed sobą dużo czasu, kochanie. Na razie dobranoc, śpij dobrze.

- Dobranoc - odparła i powoli weszła do domu. To był bardzo długi dzień.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia obudziła się wcześniej. Przez kilka minut leżała w łóżku, podsumowując wydarzenia poprzedniego dnia. Była zdziwiona jasnością swojego umysłu, tak jakby w jej życiu zaszło coś, co sprawiło, że stała się zdolna na trzeźwo oceniać sytuację. Oczywiście najpierw pomyślała o Robercie, a zaraz potem o Johnie i o historii, którą mu opowiedziała. Może jej życie teraz się zmieni... Ogarnął ją nastrój nadziei i oczekiwania.

Jak zwykle poszła na basen, a zaraz potem zadzwoniła na oddział intensywnej terapii. Siostra dyżurna powiedziała jej, że pacjent miał stosunkowo spokojną noc. Laura rozpoznała w tonie

jej głosu swój własny sposób powiadamiania członków rodziny o stanie zdrowia kogoś bliskiego i nagle poczuła wstyd. Dopiero teraz zrozumiała, jakie to bezmyślne i okrutne.

Refleksja ta w niczym nie zmieniła faktu, że po chwili, rozmawiając z ciotką, sama przybrała ten sam beznamiętny ton i niemal słowo w słowo powtórzyła wypowiedź pielęgniarki.

- Po południu możesz do niego przyjść - zakończyła.
- Pójdiesz ze mną, Larry? - spytała Sal z rozpaczą.
- Tak, zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Znowu ogarnęło ją uczucie zadowolenia, że jest rodzinie tak bardzo potrzebna, i poczucie winy, że ją to cieszy. Musiała jednak szybko przestać myśleć o własnych sprawach.

Miała swoich małych pacjentów. W pracy oni byli dla niej najważniejsi.

John zajrzał do niej dopiero tuż przed południem. Kiedy spostrzegł, że jest sama, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Pozwoliła, żeby ją pocałował.

- Witaj. Mam nadzieję, że dzisiaj jest ci nieco lepiej na świecie niż wczoraj - powiedział łagodnie.

- Tak - przyznała. - A wczorajszy dzień przeżyłam tylko dzięki tobie. Byłeś dla mnie bardzo dobry. Mam takie wrażenie, jakbym wylała na ciebie wszystkie swoje żale. Mnie ulżyło, ale nie chciałabym zbyt obciążać ciebie.

John pokręcił głową.

- Nie czuję się pokrzywdzony, sam tego chciałem.
- I za to też ci dziękuję. Wiesz, że przez kilka następnych dni będę mogła myśleć tylko o Robercie?

- Zupełnie zrozumiałe, Lauro. Ale kiedy wreszcie będziesz w stanie pomyśleć o swoim własnym życiu, chciałbym, żebyś mnie wzięła pod uwagę. O nic innego nie proszę. - Pocałował ją znowu. - Mamy dużo czasu - powiedział.

Przyjrzała mu się z bliska. Wyglądał na znużonego, miał zaczerwienione i podkrążone oczy.

- Chyba mało spałeś...
- Prawie wcale. Leżałem i myślałem o tym, co mi opowiedziałaś, o tym, jakie to miało dla ciebie skutki.

- Wydaje mi się, że potrzebuję teraz tylko spokoju i pracy - odparła z namysłem. - Kiedy pracuję, jest mi lżej, bo w tym jestem naprawdę dobra.

Na jego twarzy dostrzegła wyraz zawodu.

- Może masz rację... A zatem, siostrzyczko McLeod, chciałbym poinformować, że możemy dziś wypisać Alana Cartona do domu.

- Dzięki Bogu - westchnęła z ulgą.

Alan Carton był małym, uroczym dzieckiem, które swoją żywotnością doprowadzało wszystkich do szału. Poszli do pokoju chłopca i stanęli przy jego łóżku.

- Siostrzyczko! - wykrzyknął malec. - Niech siostra zobaczy! Przysłali mi zdjęcia z wakacji! Siostra usiądzie i wszystko obejrzy! To ja na takiej wysokiej górze, nie pamiętam, jak się nazywa, a to ja, jak płynęliśmy kajakiem!

Widok był uroczy: wesół chłopczyk w błękitnej piżamce podsuwający im pod nos

kolorowe fotografie.

- O, tu! To ja!

Laura i John uważnie obejrzeni wszystkie zdjęcia. Laura po raz kolejny spostrzegła, jak bardzo John jest cierpliwy.

- Wiem, co to za góra - oznajmił John, uważnie oglądając zdjęcie. - Te dwa szczyty miejscowi nazywają Sarenkami.

- Owieczkami - poprawił go chłopiec - albo Barankami. Zobacz, tu jest jedna, a tu druga. Zupełnie jak owieczki, prawda?

- Owszem, a ty masz fantastyczną kurtkę.

- To nie moja; pożyczeli mi, jak jechałem na ten obóz. Fajna, nie?

Laura z uśmiechem spojrzała na fotografię. W tle wznosiła się góra, a mały chłopiec na pierwszym planie uśmiechał się szeroko, wysuwając głowę z ogromnej puchowej kurtki w kolorze pomarańczowym. Przypominał w niej zadowolonego kurczaka.

- Bardzo bym chciał jeszcze raz pojechać na taki obóz, ale wiem, że każdy by chciał. Zobaczymy, co się da zrobić - pocieszyła go Laura. - To zależy od wielu rzeczy.

Chłopiec z powagą skinął głową.

- Rozumiem... Ojej, zupełnie zapomniałem! Muszę już lecieć!

Ze świetlicy dobiegły zmieszane głosy. Telewizja nadawała właśnie ulubiony serial Alana. Chłopiec zerwał się z łóżka jak szalony i pognął w stronę sali telewizyjnej.

- Pooglądajcie sobie, a potem mi je oddajcie! – krzyknął jeszcze w biegu.

Laura i John wcale nie udawali zainteresowania. Zdjęcia z obozu naprawdę ich ciekawiły. Można się było z nich wiele dowiedzieć o organizacji zajęć dla dzieci i o pracy wolontariuszy. Uważny obserwator bez trudu dostrzegał pomiędzy uczestnikami obozu liczne twarze opiekunów.

- Mój ulubiony pan doktor i moja ulubiona pielęgniarka. Miło mi państwa spotkać.

Odwrócili się i ujrzeni Harry'ego Roscoe. Uśmiechnął się szeroko i uściśnął im ręce.

- Dzień dobry - powitał go John. - Timmy miewa się już całkiem dobrze, prawda?

- Tak, właśnie u niego byłem. To wszystko wasza zasługa. Jeszcze raz dziękuję.

- To przede wszystkim zasługa Laury... - zaczął John, ale Harry Roscoe nie dopuścił go do głosu.

- Zrobiliście dla mnie wielką rzecz. Zmieniliście całe moje życie. Teraz więcej czasu spędzam w domu z rodziną. Timmy ma ojca i matkę, a ja mam prawdziwy dom. Niektórzy mnie ostrzegają, że jeśli nie będę pracował, to stracę majątek, ale ja im mniej pracuję, tym więcej mam pieniędzy. Samo się kręci! - Roześmiał się tak szczerze i zaraźliwie, że oboje mu zawtórowali.

- I ma pan więcej radości z życia - powiedział John. - Pracuje pan, żeby żyć, zamiast żyć, by pracować.

- Tak, właśnie. A co to za zdjęcia, jeśli można?

Laura podała mu fotografie.

- Jeden z naszych pacjentów był w zeszłym roku na obozie dla diabetyków. Takie obozy są bardzo ważne. Chore dzieci spotykają się z innymi i dowiadują się, że nie są same na świecie,

że jest mnóstwo ludzi w takiej sytuacji i że wszyscy żyją normalnie. Niektóre z nich w ogóle nie wyjechałyby na wakacje.

Harry uważnie obejrzał zdjęcia.

- To świetny pomysł. A... kto to wszystko finansuje?

Laura westchnęła.

- Każdy, kto może. Nie mamy stałego sponsora. Korzystamy z dobrej woli i pomocy wolontariuszy. Ja sama byłam na takim obozie dwa razy. Dostajemy datki i jakoś sobie radzimy.

- A z budżetu nic a nic, co?

- Nic - odrzekli chórem i roześmieli się.

- Ile dzieciaków zabieracie na raz?

- Mniej niż jest chętnych. Około...

Przerwało jej nadejście Natalie Platt, młodej podopiecznej z programu 2000. Była bardzo zaniepokojona.

- Siostrzo, przepraszam, że przeszkadzam, ale Laurel May ma gorączkę i nie chce jeść.

- Już idę. John, będziesz mógł na nią zerknąć?

Harry szybko się pożegnał.

- Wiem, że macie dużo pracy, nie będę przeszkadzał. Odszedł, a John i Laura udali się od razu na oddział. John zbadał dziewczynkę i zalecił ciągłą obserwację. Natalie nie spuszczała z niego wzroku, kiedy cierpliwie tłumaczył, dlaczego tak będzie najlepiej. Był naprawdę świetnym nauczycielem.

Po południu Clive przywiózł matkę do szpitala. Robert już nie spał, ale pozostawał pod wpływem środków uspokajających. Leżał podłączony do respiratora. Miał zamknięte oczy, ale na dźwięk otwieranych drzwi lekko uniósł powieki. Zaraz je jednak opuścił.

Sal była roztrzęsiona i przybita. Ze łzami w oczach patrzyła na aparaturę, w której uwięziono jej syna.

- Larry, on chyba umiera, skoro go podłączyli do tego wszystkiego.

Laura mocno ujęła ją pod ramię.

- Sal, to nic strasznego, zawsze tak się robi po operacji. Te urządzenia kontrolują wszystkie jego funkcje życiowe. Za dwa dni zostanie przeniesiony na zwykły oddział i zaraz wszystko będzie inaczej wyglądać.

Podeszła i ujęła brata za rękę. Znowu poczuła jej bezwład i siłą opanowała łzy. Robert otworzył oczy i widać było, że ją poznaje. W jego spojrzeniu czaił się strach.

- Powiedz coś - szepnęła Laura do Sal. - Mów do niego, nawet jeśli ci nie odpowie. To nie znaczy, że cię nie słyszy.

Sal nie mogła wykrztusić słowa. Zgarbiona przysiadła na łóżku, powstrzymując płacz. Laura objęła ją i mocno przytuliła.

Clive chrząknął i przemówił obcym głosem, w niczym nie przypominającym dotychczasowego, pewnego siebie tonu.

- Niedługo stąd wyjdiesz, braciszku, i znowu będziesz grał. Wczoraj chłopcy postanowili, że zorganizują dla ciebie specjalny mecz, z którego wszystkie pieniądze przeznaczy się na twoje

leczenie. Nikt o tobie nie zapomina, stary...

Głowa Roberta drgnęła, jakby słowa brata do niego dotarły. Mówili jeszcze przez chwilę, a potem Laura dała znak, że trzeba go zostawić w spokoju. Nie chciała przedłużać wizyty ze względu na Sal.

- Naprawdę wszyscy się o niego dopytują – powiedział Clive, kiedy szli w stronę samochodu. - Koledzy chcą go odwiedzić. Kiedy będą mogli przyjść?

Laura przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Za jakieś dwa dni Robert całkowicie odzyska przytomność. Wtedy zda sobie sprawę ze swojego stanu, a to będzie zawsze trudny moment dla chorego. Będzie mu potrzebna rodzina, ale nie sądzę, żeby wizyty kolegów były w tych dniach wskazane.

Przez chwilę panowała cisza.

- Masz rację- odrzekł wreszcie Clive. - Zrobimy tak, jak powiesz. Ty się na tym znasz i wiesz, co dla niego najlepsze.

- Lauro, czy masz taki zwyczajny, klasyczny strój pielęgniarki? Nie te kolorowe piżamy, które tutaj nosicie, tylko taki prawdziwy?

Pytanie Johna zaskoczyło ją. Siedziała w pracy, a jego telefon oderwał ją od papierkowej roboty. Nie widziała go od dwóch dni, bo większość wolnego czasu spędzała z Sal u Roberta.

- Tak, mam taki strój - odparła zadowolona, że go słyszy. - A dlaczego pytasz?

- To niespodzianka. O ile, pamiętam dziś po południu jesteś wolna, prawda?

- Tak, właśnie kończę, ale...

- Zrób coś dla mnie. Zaraz po pracy złap taksówkę i przyjedź na Lamb's Lane 47, a po drodze koniecznie weź ten strój. Zdążysz tu na trzecią?

- Zaciekawiasz mnie. Po co ci ja i mój strój?

Została sama ze swymi wątpliwościami, bo odpowiedzi nie otrzymała. Lamb's Lane znajdowała się w starej części miasta, zabudowanej wiktoriańskimi domami, z których większość przeznaczono na biura i magazyny. Niektórzy z jej kolegów chirurgów mieli tam prywatne gabinety.

Taksówka zatrzymała się przed starannie utrzymanym ogrodem. Posiadłość musiała należeć do bardzo zamożnych ludzi. Niewielka tabliczka na drzwiach głosiła: „Lamb's Lane Studio”. Studio? Jakie studio?

Po chwili z domu wyszedł mężczyzna i uregulował rachunek za taksówkę. Na plakietce przypiętej do białej koszuli można było wyczytać, że należy do ochrony.

- Pani McLeod? Doktor Hawke bardzo przeprasza, że nie może przywitać pani osobiście, ale właśnie pracuje. Proszę wejść i chwileczkę poczekać.

John tu pracuje?

Mężczyzna wziął od niej torbę z ubraniami i zaprowadził do pokoju, nad którego drzwiami paliło się czerwone światelko. „Nagranie. Nie wchodzić”. Lekko uchylił drzwi do zaciemnionego pomieszczenia i poprosił, by weszła.

Ujrzała świetlisty krąg otoczony kamerami. Z sufitu zwieszał się mikrofon, za kamerami stali i siedzieli jacyś mężczyźni. Wszystkie obiektywy wycelowane były w Johna, który trzymał w ręku plastikową makietę trzustki. Objasniał właśnie do kamery jej budowę, funkcje i zaburzenia. Usłyszała, że mówi coś o pankreatynie.

W czasie studiów była świadkiem podobnych pokazów, ale nigdy nie słyszała tak klarownego wykładu. John był urodzonym nauczycielem. Mówił jasno, ale bez zniżania się do poziomu słuchacza. Wyjaśnił, czym może być spowodowana cukrzyca i jak należy jej zapobiegać, a w razie konieczności także leczyć.

- To tyle teorii, a teraz przejdziemy do praktyki. Pokażemy państwu naszego pacjenta - zakończył.

Ktoś z ekipy krzyknął: „Cięcie!”, zupełnie jak na filmie, i rozbłysło światło. John dostrzegł Laurę i natychmiast do niej podszedł. Nie widziała go od dwóch dni. Dwa dni to bardzo długo...

- Nie wiedziałaś, że jestem gwiazdą filmową - powiedział z uśmiechem. - A to mój producent, Marcus Fox.

Marcus był najchudszy, najwyższy i najbardziej niedbale ubranym człowiekiem, jakiego w życiu widziała. Leniwie wyjął dłoń z kieszeni wyciągniętej marynarki i obrzucił Laurę baczny spojrzeniem.

- Tak... - rzekł przeciągle i spojrzał na Johna - dobra, bardzo dobra. Przyniosłaś strój, kochanie? - zwrócił się do niej. - Tak? A będziesz gotowa za jakieś pół godziny?

John spostrzegł zmieszanie Laury.

- Pozwolisz, że wezmę Laurę na kawę? Wrócimy za pół godziny. Na razie.

Zaprowadził ją do niewielkiego baru.

- Filmowcy piją jeszcze więcej kawy niż my w szpitalu - oznajmił. - O ile to oczywiście możliwe. Tylko że u nich jest lepsza i droższa. - Kawa była wyśmienita. - Pewnie jesteś ciekawa, co ja tu robię i po co cię sprowadziłem?

- No, tak. Czuję się, jakby mnie porwano.

- Specjalnie cię nie uprzedziłem. Agencja filmowa o nazwie Gladstone Films przygotowuje serię filmów o światowych chorobach i ich leczeniu. Przeznaczone są głównie do krajów Afryki i Ameryki Południowej. Teksty będą tłumaczone na miejscowe języki.

W jego oczach dostrzegła entuzjazm. To też w nim lubiła.

- Napisałem im już dwa scenariusze, kiedy mieszkałem w Londynie - ciągnął John. - To bardzo ciekawa i sensowna robota. Teraz Marcus wynajął studio i przez najbliższe dwa tygodnie zamierza kontynuować pracę.

- A co ze mną i moim strojem? Po co wam to?

- Siostrze McLeod, gdyby się pani udało pokazać pielęgniarkom, jak się postępuje z dziećmi chorymi na cukrzycę, to byłaby ważna rzecz.

- Podpuszczasz mnie.

- Jasne! I wcale nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Teraz przeczytaj tekst i powiedz, co o nim myślisz.

Wzięła plik kartek i zaczęła czytać.

„Po zdiagnozowaniu cukrzycy u dzieci najważniejsze staje się natychmiastowe rozpoczęcie terapii. Tutaj wielką rolę do odegrania mają pielęgniarki...” Potem był krótki opis czynności i zabiegów, a na zakończenie słowa: A teraz pokażemy państwu jednego z naszych pacjentów”.

- Bardzo dobry tekst - oświadczyła. - Krótki i zwięzły, tak jak twój wykład. Byłam tu i

słyszałam, jak mówiłeś.

- Mamy jeszcze kilka minut. Zdążysz się przebrać i idziemy. Przeczytasz to przed kamerą.
- Ależ John, ja...
- Skąd możesz wiedzieć, skoro nigdy nie próbowałaś? Zaprowadzę cię do garderoby.

Wiedziała, że w stroju służbowym wygląda bardzo dobrze. Uniform podkreślał jej zgrabną figurę i nadawał pewność jej ruchom. Garderobiana lekko ją umalowała i uczesała jej włosy. Potem Laura zeszła na dół i stanęła w kręgu światła. John podszedł do niej.

- Nie wiem dlaczego, ale nie przynieśli jeszcze dekoracji. Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś na oddziale.

Tekst, który przed chwilą czytała z manuskryptu, ukazał się na wielkim ekranie naprzeciw niej.

- Czytaj tak, jakbyś miała przed sobą swoje praktykantki - polecił Marcus. - I nie przejmuj się. Jeśli się pomylisz, zaczniemy jeszcze raz. Mów tak, jakbyś uczyła nowe pielęgniarki. Jesteś gotowa?

Była strasznie spięta. Zaraz na początku pomyliła się, ale Marcus machnął ręką, nakazując jej czytać dalej. Potem już poszło całkiem niezle, tylko przy końcu znowu się zawahała.

Powtórzyli wszystko jeszcze dwa razy i Marcus oświadczył, że jest doskonale.

Kilka minut później cała ekipa siedziała przed monitorem i przeglądała nagranie. Laura ujrzała siebie, przemawiającą do nie istniejącego audytorium, i uznała, że wcale niezle wypadła. Najpierw przeżyła szok, bo przecież nigdy dotychczas nie widziała siebie na ekranie, ale potem musiała przyznać, że zachowała się swobodnie i mówiła wyraźnie i płynnie.

- Zrobimy z ciebie gwiazdę - powiedział John.

Marcus też uważał, że umiejętności Laury należy wykorzystać. John zapytał, czy to już koniec i czy mogą iść na kolację. Bajka się skończyła, trzeba wracać do smutnej rzeczywistości. Laura przecząco pokręciła głową.

- Ja nie mogę, mam się spotkać z Sal. Nie chcę, żeby sama szła do Roberta.
- W takim razie wpadniemy po drodze na coś szybkiego.

Poszli do małego baru na terenie parku i zamówili kanapki z serem i sałatą. Przez ostatnie kilka godzin stale się coś działo, teraz nadszedł czas na przemyślenia.

- To popołudnie było dla mnie czymś zupełnie nowym - uznała Laura. - Czułam się świetnie i ani przez chwilę nie myślałam o tym, co mnie dręczy. Wiedziałaś, że tak będzie, i zrobiłaś to wszystko specjalnie? Żeby mnie oderwać od moich problemów i zmusić do myślenia o czymś innym?

John skinął głową.

- Tak - odparł szczerze. - Przypadkowo okazałaś się doskonałą aktorką, ale na początku chodziło mi tylko o to, żebyś się oderwała od swojej pracy i problemów. Masz bardzo zmęczone oczy.

- Martwię się o brata i o resztę rodziny.

Pogłaskał ją po dłoni.

- Bardzo chciałbym ci jakoś pomóc.

- Jestem odpowiedzialną osobą, John. Niektóre decyzje muszę podejmować w samotności. A teraz

opowiedz, jak zacząłeś pracę przy tych filmach?

Po raz pierwszy wydawało jej się, że John nie wie, co odpowiedzieć, ale po chwili to wrażenie znikło.

- zaproponował mi tę pracę ktoś w Londynie - odparł. - Na początku nie zdawałem sobie sprawy, ile dobrego można w ten sposób zrobić, jednak potem zaczęło mi się to podobać. Szybko się wciągnąłem. Były różne problemy, finansowe i inne, ale teraz Marcus dysponuje już wszystkim, co trzeba, żeby sprawę doprowadzić do końca.

- Twój wstęp był doskonały. Świetnie wypadasz przed kamerą, zachowujesz się tak naturalnie. John wzruszył ramionami.

- Jeśli się jest pediatrą, trzeba mieć w sobie coś z komedianta. Gdzie mam cię odwiedzić?

Laura spojrzała na zegarek; zrobiło się późno.

Podwiózł ją pod szpital, gdy do spotkania z Sal zostało dziesięć minut. Poczula, że spędziła wspaniałe popołudnie.

John jest niezwykły. Bez przerwy odkrywała jego nowe cechy. Ten mężczyzna pod maską otwartości kryje bardzo skomplikowane wnętrze. Nagle uświadomiła sobie, że tego dnia pokierował jej życiem. Było to miłe i sensowne, ale nie miała pewności, czy właśnie tego pragnie.

Następne trzy dni widywali się tylko na oddziale. Nigdy nie byli sami i jedynie krótkie spojrzenia Johna dawały Laurze do zrozumienia, że istnieje między nimi jakaś tajemnicza wspólnota. Ciekawe, dlaczego John nigdy do niej nie dzwoni... W sobotę wreszcie zatelefonował do pracy.

- Mogłabyś wpaść do mnie dzisiaj po południu? – spytał rzeczowym głosem. - Mam do ciebie pewną sprawę.

- Mam nadzieję, że nie dotyczy ona show-biznesu?

- Raczej nie, ale jest ważna. Możesz przyjść o czwartej?

- Tak, ale chciałabym wiedzieć...

- Wszystko ci wyjaśnię. Do zobaczenia u. mnie. Odłożyła słuchawkę zaintrygowana: ciekawe, czy John znowu próbuje nią manipulować...

Otworzył jej drzwi ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Wyglądał bardzo oficjalnie.

- To miło, że przyszedłaś. Bardzo mi zależy na tym spotkaniu - powiedział i wziął od niej płaszcz, po czym wprowadził do salonu i poczęstował kawą. - Czasem trudno jest być lekarzem - dodał. - Człowiek jest pewien, że postępuje właściwie, a potem to, co zrobił, obraca się na jego niekorzyść. Nigdy nie wiadomo, jakie będą konsekwencje podejmowanych decyzji. To zresztą dotyczy nie tylko lekarzy.

Nie podobał jej się ten przydługi wstęp.

- O co ci chodzi? - zapytała wprost.

Przez chwilę panowała cisza, a potem John wstał i podszedł do drzwi prowadzących do kuchni.

- Chciałbym, żebyś kogoś zobaczyła.

Lekko zapukał do drzwi. Otworzyły się i ktoś wszedł do salonu. Był postarzały, gruby, lekko łysiejący. Mimo to Erica Myersa poznałaby na końcu świata. I właśnie jego John zaprosił do swojego domu!

Nie mogła wymówić słowa. Nie chciała patrzeć na Erica, a kiedy spojrzała na Johna, napotkała jego obcy, chłodny wzrok. Czy ona kiedykolwiek pozna prawdziwego doktora Hawke'a?

Eric poruszył się. Laura stała jak sparaliżowana.

- To coś w rodzaju konfrontacji - odezwał się John. - Nic, co tu powiemy, nie wyjdzie poza ściany pokoju. Zacznijmy od zrelacjonowania tego, co jakoby stało się cztery lata temu.

Laura nie wytrzymała.

- Jakoby! Ja doskonale wiem, co się stało, John. I stało się naprawdę, a nie jakoby! Opowiedziałam ci to w zaufaniu, nadużyłeś go!

John zbladł.

- Będzie dość czasu na wyrzuty, kiedy już wszystko sobie wyjaśnimy - rzekł spokojnie. - A teraz posłuchaj. Cztery lata temu...

Beznamiętnym głosem powtórzył jej relację z przebiegu owego feralnego przyjęcia. Wspomnił o alkoholu, o pigułkach, o jej przebudzeniu. Obojętny ton uwypuklał jeszcze koszmar wspomnienia. Zrobiło jej się słabo.

- Napij się kawy - poradził i, o dziwo, usłuchała go.

- To tyle, jeśli chodzi o twoje wspomnienia - zakończył John. - A teraz chciałbym wysłuchać wersji Erica.

- Nie mam zamiaru tego słuchać! - zawołała. - Dobrze wiem, jak było!

- Może jednak posłuchasz. Proszę, niech pan mówi.

Nawet ona zauważyła, jak bardzo był skrępowany. Przez chwilę miała wrażenie, że Eric Myers nie wykrztusi z siebie ani słowa i ucieknie. Wytarł pot z czoła, poprawił krawat.

- Przede wszystkim - zaczął cichym głosem – chciałbym cię przeprosić. Bardzo mi wstyd za to, co zrobiłem, zwłaszcza teraz, kiedy się dowiedziałem, jakie to miało skutki.

John nalał mu kawy i Eric wypił łyk.

- To prawda, że dolałem wódki do twojej szklanki, ale nie dorzuciłem żadnego narkotyku. Jakiś idiota przyniósł prochy na przyjęcie i wysypywał ludziom do kieliszków. Straciłaś przytomność i to wszystko. Nic ci nie zrobiłem. Pochorowałem się. Zaniósłem cię do saloniku i zostawiłem tam.

Czuła, jak ogarnia ją wściekłość. Wiedziała, że Eric kłamie i nie potrafiła wykrztusić słowa. John wyręczył ją.

- Kiedy Laura odzyskała przytomność, zobaczyła, że ma bieliznę w nieładzie, tak jakby ktoś ją rozbierał.

Erie jeszcze bardziej się zmieszał.

- Okropnie mi przykro, to nie ja. To wina Val i dziewcząt, które tam były, wiesz. Nigdy przedtem nie widziały cię pijanej - i postanowiły się zabawić twoim kosztem. Uważały, że nimi pogardzasz i chciały ci dać po nosie. Rozebrały cię, a potem ubrały tak, żebyś to zauważyła. Chciały ci o wszystkim później powiedzieć, ale od tej pory nie pokazałaś się w klubie.

Laura zaniemówiła. Jak to? Czy to możliwe, żeby przez cztery lata przeżywała koszmar z powodu głupiego dowcipu kilku niemniej głupich dziewcząt?

Zapadło milczenie. Erie odezwał się pierwszy.

- Może będzie lepiej, jak już sobie pójdę. - Zawahał się. - Jest mi bardzo wstyd. Do widzenia.

Skłonił się przed nimi i ruszył w stronę drzwi. John odprowadził go.

- Wierzysz mu? - zapytała, kiedy wrócił.

- Całkowicie - odparł bez wahania. - A ty?

Laura skinęła głową. John popatrzył na nią i nastawił muzykę.

- Posiedź sobie chwilkę i posłuchaj tego. – Łagodne dźwięki Mozarta wypełniły pokój. - Twoje życie uległo zmianie. Mam nadzieję, że na lepsze.

Laura zamknęła oczy i pozwoliła muzyce przenikać się i ogarniać bez reszty. Musiała bardzo wiele rzeczy przemyśleć. Po kilkunastu minutach otworzyła oczy; czuła się wyczerpana, jakby z niej uszło powietrze.

- Mógłbyś mi nalać whisky? - zapytała. Napój rozjaśnił jej myśli. - Chyba winien mi jesteś wyjaśnienie - powiedziała, patrząc na Johna.

- Tak. Przede wszystkim nadużyłem twojego zaufania, a to robię tylko w wyjątkowych przypadkach.

- Znowu posunąłeś się do manipulacji.

- Możliwe, ale zrobiłem to dla twojego dobra.

- Powiedz, jak go odnalazłeś, tego Erica. Jakoś w dalszym ciągu trudno mi wymówić jego imię.

- To nie było trudne. Poszedłem do klubu i pogadałem z ludźmi. Cała ta historia bardzo mnie dręczyła, więc umówiłem się z Erikiem. Cieszę się, że to zrobiłem. Nie zamierzam się z nim przyjaźnić, ale doszedłem do wniosku, że to nie jest zły człowiek. Tamte trzy dziewczyny, które to zrobiły, są teraz zamężnymi kobietami i nie mają pojęcia, jaką ci wyrządziły krzywdę. Nie rozmawiałem z nimi, nie widzę takiej potrzeby.

Laura zapatrzyła się przed siebie.

- Jeszcze tego nie przetrawiłam, potrzebuję czasu.

- Masz mnóstwo czasu. Pozwól, żeby życie płynęło dalej swoim trybem.

Objął ją, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

- Zmieniłeś moje życie - powiedziała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tego dnia rano nie poszła na basen. Woląca zostać w łóżku i wszystko przemyśleć. Ostatnio w jej życiu wiele się wydarzyło i musiała to uporządkować.

Przede wszystkim wypadek Roberta. Laura zdawała sobie sprawę z roli, jaka jej przypadła w rodzinnej tragedii: przez pewien czas będzie musiała być pośrednikiem między szpitalem a rodziną. Potem Robert opuści szpital i... tu się właśnie gubiła: nie wiedziała, co dalej będzie mogła dla nich zrobić. Przecież prawdopodobieństwo, że jej przyrodni brat do końca życia będzie przykuty do inwalidzkiego wózka, jest najzupełniej realne.

A wczorajsze rewelacje? Tym, co zaszło w mieszkaniu Johna, czuła się odurzona. Nie do końca pojmowała znaczenie spotkania z Erikiem. Przeczuwała tylko, że niepodobna przecenić

konsekwencji tej konfrontacji. Czuli się lekka, jakby ktoś zdjął z jej barków ogromny ciężar. Wiedziała, że gdyby scena z Johnem w samochodzie powtórzyła się, jej przebieg byłby zupełnie inny.

Uśmiechnęła się do siebie i przeciągnęła z westchnieniem: jeśli John jeszcze kiedyś ją, pocałuje, to ona... Zarumieniła się na samą myśl o tym, jaki będzie finał tego pocałunku.

John jest najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Jest dobry, mądry, jest wspaniałym lekarzem. Zresztą, trudno powiedzieć, jaki naprawdę jest John...

Można myśleć, że już się go poznało, a on natychmiast zaskakuje człowieka jakimś nieprzewidzianym posunięciem. Przecież nigdy by jej nie przyszło do głowy, że może odszukać Erica i zaprosić go do domu. Nagle zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nic o Johnie nie wie. Ta myśl nie była jednak przykra, przeciwnie: raczej przyjemna.

Dobry nastrój Laury zmienił się zaraz po przyjściu do pracy. Powierzona jej opiece praktykantka bardzo się starała, ale brakowało jej doświadczenia. Laura poleciła jej zmienić opatrunek, wiedząc, że Natalie niejednokrotnie już przy tym asystowała.

Początek był całkiem niezły. Natalie podeszła do ośmioletniego Malcolma i chwilę z nim porozmawiała, żeby zyskać jego zaufanie. Potem delikatnym, ale stanowczym ruchem zdjęła stary opatrunek z brzucha dziecka i dokładnie oczyściła pole opatrunkowe. Ruchy miała szybkie i sprawne, a wykonując swoje czynności, uśmiechała się do dziecka. Następnie umyła ręce, włożyła gumowe rękawiczki i sięgnęła po sterylny opatrunek. Położyła go na łóżku i zaczęła rozpakowywać.

- Siostrzyczko - powstrzymała ją Laura - co się dzieje ze sterylnym opatrunkiem, kiedy go się położy na niesterylnym łóżku?

Natalie drgnęła.

- Przestaje być sterylny - wyjąkała.

- Właśnie. Proszę wziąć nowy.

Nauczy się, pomyślała Laura, z czasem wszystkiego się nauczy.

Przed południem zadzwonił John. Pogotowie właśnie przywiozło chłopca, który upadł na boisku szkolnym i stracił przytomność. Dyrektor szkoły wezwał karetkę i osobiście poszedł zawiadomić rodziców ucznia.

- Zaraz tam idę.

W drodze zastanawiała się, czy w głosie Johna brzmiało coś więcej niż tylko zwykła uprzejmość...

Chłopiec leżał w łóżku i spał. Stanęli nad nim, próbując się czegoś domyślić z drobnego, nieruchomego kształtu. Wiedzieli tylko, że nazywa się Brent Padgett i że przewrócił się na boisku. Wstępne badanie krwi wykazało, że może mieć anemię. John przed szczegółowym badaniem chciał porozmawiać z rodzicami, którzy byli już w drodze do szpitala.

- Zobacz, jaki jest opalony - rzekła Laura - i jaki chudy. Można mu policzyć wszystkie zębra. Wygląda jakby był niedożywiony.

- Tak - przytaknął John - i ma bardzo zniszczone stopy.

Spojrzała na nogi chłopca.

- Pełno odcisków i zgrubień. Zupełnie jakby nie nosił butów.

- Albo nosił je bardzo rzadko. Widziałem takich ludzi w Afryce, tam to był wynik głodu,

ale tutaj... Sam nie wiem. Lekarz z pogotowia sugerował, że to może być przypadek złego przyswajania pokarmu.

- Trzeba będzie porozmawiać z jego lekarzem...

Znała syndrom złego tolerowania pożywienia: czasem organizm nie jest w stanie wchłonąć żelaza albo witaminy B12, co wyniszcza go tak samo jak długotrwałe niedożywienie. Człowiek traci na wadze, robi się słaby i anemiczny.

- Gdzie jest nasz syn? - Z korytarza dobiegł ich gniewny głos i hałas szybkich kroków. W chwilę później ukazał się mężczyzna w roboczym ubraniu i kobieta o długich, rozpuszczonych włosach. - Jestem ojcem Brenta Padgetta i żądam wyjaśnień! - oświadczył mężczyzna rozkazującym tonem, niezbyt pasującym do jego stroju.

Johna wcale to nie stropiło.

- Chłopiec jest tutaj. Może pan na niego spojrzeć, a potem proszę do pokoju obok. Musimy porozmawiać.

- Nie mamy o czym mówić. Jestem ojcem dziecka i zamierzam natychmiast je stąd zabrać.

- Pański syn jest...

- Szpital to bardzo szkodliwe miejsce, organizm sam się obroni. Zamierzam zabrać stąd Brenta, i to zaraz!

Laura wyczuła narastający gniew Johna, ale mężczyzna jeszcze go nie wychwycił w opanowanym głosie lekarza.

- Pańskie dziecko jest teraz pod moją opieką. Proponuję panu rozmowę, w przeciwnym razie będę zmuszony wezwać policję i oskarżyć pana o niedopełnianie podstawowych obowiązków wobec chłopca, a konkretnie systematyczne głodzenie go.

- Nie ośmielisz się, ty...!

- Ośmielę się, zapewniam pana.

Laura postanowiła interweniować.

- Stan Brenta jest bardzo niepokojący - zwróciła się do milczącej dotąd kobiety. - Martwimy się o niego.

- Rozumiem, ale mój mąż ma własne poglądy na temat wychowywania dzieci. Posyłamy Brenta do szkoły, bo nas do tego zmuszono. Carleton uważa jednak, że system edukacyjny niszczy duszę człowieka, a medycyna jego ciało. Liczy się tylko natura.

Głodzenie dziecka nie ma nic wspólnego z naturą, pomyślała Laura.

- Gdyby uspokoiła pani męża, może moglibyśmy porozmawiać.

- Spróbuję - rzekła długowłosa kobieta i ku zdumieniu Laury jej głos całkowicie się zmienił. - Carleton, przestań, ale już! - syknęła. - Posłuchaj, co mówią lekarze.

- Ależ Mirando...

- Uspokój się, powiedziałam. Kiedy mały dorośnie, niech sobie robi, co chce, ale teraz będziemy słuchać lekarzy.

Mężczyzna nagle się uspokoił.

- Dobrze, kochanie.

- Może przejdziemy do pokoju pielęgniarek - zaproponował John, zdumiony nagłym zwrotem sytuacji.

W pół godziny później, kiedy rozmawiał o tym z Laurą, nadal miał na twarzy wyraz osłupienia.

- Czegoś takiego w życiu nie widziałem. Wariat, kompletny wariat, ale udało się. Matka chciała zostać przy chłopcu, ale poszła, żeby ten szaleniec nie odniósł wrażenia, że wszyscy go opuścili.

- A co właściwie jest z Brentem?

John pokiwał głową.

- Zawsze to samo: najpierw trzeba leczyć rodzinę, a dopiero potem dziecko. Mieszkają gdzieś na odludziu, w chałupce, którą ten wariat zbudował. Carleton jest fanatykiem życia na łonie natury, wegetarianinem i tak dalej. To wykształcony, ale szalony człowiek. Oznajmił mi, że jego rodzina jada tylko ryż i fasolę, i to w małych dawkach, żeby nie obciążać organizmu. Kompletnie szaleństwo!

- Rozumiem. Brent nie jest chory, tylko niedożywiony.

- Brak mu podstawowych składników. Oni w ogóle nie spożywają zwierzęcego białka, nie przyjmują witamin ani leków. Chłopiec musi mieć ogromny niedobór B12.

- Jak dopiąłeś tego, że zostawili go w szpitalu?

Zapomniała, że w niektórych sytuacjach John potrafi być twardy jak stal.

- Matka od początku zachowywała się rozsądnie. A ojciec... Powiedziałem im, że jak zabiorą dzieciaka, to pewnie umrze, a ja ich oskarżę o nieumyślne spowodowanie jego śmierci.

W pięć dni później do Laury zadzwoniła sekretarka dyrektora.

- Pan dyrektor chciałby się z panią zobaczyć. Czy może pani przyjść dziś po południu? - Takie wezwanie zwykle niczego dobrego nie wróżyło. - Najlepiej byłoby około drugiej - dodała sekretarka. - Wtedy inni też już będą.

- Inni? Jacy inni? - zdziwiła się Laura. - A o co właściwie chodzi?

- Doktor Black wszystko pani wyjaśni - odparła zagadkowo sekretarka. - Bardzo mu zależy, żeby przyszła pani na spotkanie.

To nie musi być nic strasznego, pomyślała Laura, inaczej by mnie po prostu wezwali. Wbrew obiegowej opinii o dyrektorach szpitali, wszyscy szczerze lubili doktora Blacka. Był bardzo wymagający i niezwykle pracowity. W ważnych dla szpitala sprawach zasięgał rady zespołu i nigdy nie działał pochopnie.

Laura zjawiła się w jego biurze kilka minut po drugiej. Nie przebrała się, ale poprawiła makijaż i uczesała włosy. W poczekalni zastała Johna, który obrzucił ją zdumionym spojrzeniem.

- Ciebie też wezwał? Nie wiesz, o co chodzi?

- Zaraz podam kawę - oznajmiła sekretarka i poszła ich zaanonsować.

Laura spojrzała na Johna. Nie widziała go pięć długich dni. Słyszała, że miał mnóstwo pracy, bo zastępował Davida, który wyjechał na konferencję. Oboje wiedzieli, że muszą porozmawiać, bo ich losy splotły się ze sobą, ale... nie mieli na to czasu.

- To bardzo niepokojące, prawda? - powiedział John. - Zupełnie jakbyśmy byli w szkole i dyrektor wezwał nas na dywanik. Co myśmy nabroili?

Roześmiała się.

- Nie mam zielonego pojęcia, ale na wszelki wypadek uczesałam włosy i obciągnęłam spódniczkę.

Nie mam na pewno nic na sumieniu.

- A szkoda - rozmarzył się. - Pomyśl, jakie to by mogło być przyjemne.
- Opanuj się, nie teraz - upomniała go z komiczną powagą. - Nie wiesz, kto tam jest w środku? Zza zamkniętych drzwi dobiegał szmer głosów.
- Nie wiem. - John pokręcił głową. - Słabo znam dyrektora, ale robi dobre wrażenie.
- Tak, bardzo dba o szpital i chce wokół niego skupić tutejszą społeczność. Mówi, że jesteśmy jedną wielką rodziną i powinniśmy trzymać się razem.

John zmarszczył czoło.

- Nie wszyscy lekarze są tym zachwyceni...

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich doktor Black.

- Witam, siostró, i witam pana, doktorze. Proszę państwa do środka.

Dyrektor szpitala był bardzo wysoki, szczupły i siwowłosy. Uśmiechnął się i wpuścił ich do gabinetu. W środku ze zdziwieniem spostrzegli Davida Millera. Gdy przywitali się i usiedli, sekretarka podała kawę. Doktor Black zajął miejsce za biurkiem.

- Dzisiejsze spotkanie będzie, dla odmiany, dotyczyło spraw przyjemnych. Zbyt często muszę z personelem rozmawiać o rzeczach przykrych i dlatego takie spotkanie jak dzisiaj to dla mnie prawdziwe wytchnienie.

Laura i John wymienili zdziwione spojrzenia.

- Przede wszystkim chciałbym kolegom bardzo podziękować za to, co zrobiliście dla małego Timmy'ego Roscoe. Rozmawiałem z jego ojcem. Nie mógł się nachwalić naszych lekarzy i pielęgniarek.

- To wszystko zasługa Laury - wtrącił John. - To ona zauważyła w parku, że z chłopcem jest coś nie w porządku.

- Ja tylko... - zaczęła Laura, ale doktor Black ją powstrzymał.

- To teraz nieważne - uśmiechnął się. - Najważniejsze jest to, że pan Roscoe postanowił się jakoś odwdziżyć. Wiecie, że jest właścicielem sieci biur turystycznych w naszym mieście? Postanowił zorganizować wakacje w Ameryce dla małych diabetyków i koniecznie chce, żebyście z nimi pojechali na dwa tygodnie.

- Nigdy nie byłam w Ameryce - odezwała się Laura nieco bez sensu.

Spojrzała na Johna, lecz on był równie zdziwiony co ona.

- Dlaczego właśnie my? - zapytała. - To bardzo pochlebne, ale przecież jest tyle innych osób.

- Harry Roscoe chce tylko was. Powiedział, że albo pojedziecie wy, albo wycofa ofertę.

- Rozumiem - mruknęła Laura.

Doktor Black powiódł wzrokiem po ich twarzach.

- Ostatnio często widywałem pana Roscoe - wyjaśnił - i trochę go poznałem. To bardzo przedsiębiorczy człowiek. Nic dziwnego, że doprowadził firmę do rozkwitu.

- Miło byłoby mieć kogoś takiego w zasięgu ręki... - szepnął ironicznie John, ale dyrektor nie zwrócił na to uwagi.

- Harry finansuje cały pobyt, bilety na samolot, opłaty hotelowe i wizytę w Disneylandzie.

Nie będziecie mieli nic do roboty. Wszystko załatwimy ja i Harry.

- Przecież to będzie kosztowało pana Roscoe majątek jęknęła Laura.

- Tak, ale umiarkowany. Pojedziecie poza sezonem, w listopadzie albo grudniu, on sobie to odpisze od podatku, a przy okazji zrobi sobie niezłą reklamę. A do tego dzieciaki będą miary wakacje. Teraz wszystko zależy od was. Dam wam tydzień wolnego, a drugi weźmiecie sobie z urlopu. Co o tym sądzicie?

- Ja nie mam nic przeciwko temu, jeśli znajdzie się zastępstwo - oświadczył John.

- W tym już moja głowa. - Doktor Black spojrział na Laurę. - A co na to siostra?

Laura przez chwilę się namyślała.

- Pojedziemy tylko my dwoje? - zapytała.

- Tak. Harry tak to sobie wymyślił, a to jego pieniądze i może je wydawać, jak chce. - Doktor Black poruszył się na krześle. - Chciałbym umieć tak kierować naszym szpitalem, jak on swoimi biurami.

Odpowiedź Laury mogła być tylko jedna.

- Pojadę - oświadczyła. - I proszę podziękować panu Roscoe w naszym imieniu.

- Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. Ja państwu również dziękuję.

Laura i John oszołomieni wyszli na korytarz.

- Chyba musimy gdzieś usiąść i spokojnie porozmawiać - rzeki John. - Chodźmy do baru, zapraszam cię na sok pomarańczowy.

- To bardzo dobry pomysł.

Usiedli i zamówili napoje.

- Doktor Black wydawał się bardziej podniecony tą całą wyprawą niż my - powiedział John.

- Mówiłam ci, że jemu zależy na związaniu szpitala z tutejszą społecznością. To jego *idée fixe*.

- Tak, Harry Roscoe to dobry sojusznik w takiej sprawie. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego uparł się, żebyśmy pojechali właśnie my?

Domyślała się, ale wolała tego nie mówić.

- Bo pomogliśmy jego synowi? - zapytała wymijająco.

- Chyba jest coś więcej. On prawdopodobnie chce nas wysłać do Ameryki, żebyśmy tam byli sami i lepiej się poznali.

- Jest jeszcze kwestia chorych dzieci - przypomniała mu.

- Oczywiście, na chorych dzieciach również mu zależy - zgodził się John. - Ale chce też, żebyśmy spędzili razem te wakacje. Kto by pomyślał? Harry Roscoe nie przypomina Kupidyna, prawda?

Laura uśmiechnęła się lekko.

- Niezbyt. Grubawy właściciel agencji turystycznej z kołczanem pełnym złotych strzał? To rzeczywiście trochę nie z tego świata. Tak czy inaczej, jedziemy tam do pracy, a nie po to, żeby... - zawahała się.

- ...żeby się zakochać - dokończył.

Patrzył na nią, łagodnie się uśmiechając.

- Właściwie prawie cię nie znam. - Laura wytrzymała jego wzrok. - Czasem myślę, że cię rozumiem, a potem robisz coś, co mnie kompletnie zaskakuje. Zaszokowałeś mnie tym spotkaniem z Erikiem, ale teraz cieszę się, że go sprowadziłeś. Nigdy nie przypuszczałam, że możesz zrobić coś takiego.

- Dla mnie to też nie była prosta sprawa.

- Czy planujesz coś nowego? Czy jest coś, czego o tobie nie wiem?

Jasny wzrok Johna nagle ściemniał; trwało to tak krótko, że uznała to za przywidzenie.

- Dowiesz się jeszcze o mnie mnóstwo rzeczy, kiedy wyjedziemy. Czy wiesz, ile miłosnych historii zaczyna się zwykle na wakacjach?

- My tam jedziemy do pracy, panie doktorze - upomniała go z uśmiechem.

- Zawsze wolno pomarzyć... - westchnął John, lekko dotykając jej dłoni.

Wieczorem zajrzała do Roberta, a potem zadzwoniła do Clive'a i poprosiła, żeby został z matką w domu. Sal była naprawdę w strasznym stanie.

Laura zdążyła już poznać większość osób zatrudnionych na oddziale intensywnej opieki, a ponieważ była pielęgniarką, wszyscy traktowali ją z zaufaniem i rozmawiali z nią zupełnie inaczej niż zazwyczaj z rodziną pacjenta.

- Jak on się teraz czuje? - zapytała Laura dyżurną pielęgniarkę.

Hilary ze smutkiem pokręciła głową.

- Sama wiesz, jak to jest w takich przypadkach. Nigdy nic nie wiadomo.

Laura nie pytała o nic więcej. Zdawała sobie sprawę z tego, co czeka Roberta. Będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Kalectwo... Wiedziała, że niektórzy ludzie potrafią sprostać podobnej tragedii, ale nie wszyscy są do tego zdolni.

Robert znajdował się jeszcze w tym samym pokoju, ale już siedział podparty poduszkami. Odstawiono mu leki uspokajające i był w pełni świadomy tego, gdzie się znajduje. Laura weszła i uśmiechnęła się na powitanie.

- Z czego się tak śmiesz? - usłyszała.

- Po prostu uśmiecham się do ciebie - powiedziała. - Cieszę się, że cię widzę. Jak się czujesz?

- A jak myślisz? Po prostu wspaniale.

W jego głosie brzmiała gorycz. Laura przysiadła na łóżku i ujęła brata za rękę. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Robert odezwał się pierwszy. Głos miał smutny i zrezygnowany; zniknęła gdzieś niedawna zadziorność. Zasmuciło ją to jeszcze bardziej.

- To dobrze, że do mnie przyszedłeś, Larry. Tylko z tobą mogę rozmawiać. Tylko ty jesteś ze mną szczerą. Bo będziesz wobec mnie szczerą, prawda?

- Spróbuję - odrzekła z wahaniem.

Wiedziała z doświadczenia, że czasem pacjenci, domagając się brutalnej prawdy, tak naprawdę wcale nie chcą jej słyszeć.

- Ja wiem, że Sal i Clive robią, co mogą, ale po prostu nie dają sobie rady. Lekarze i pielęgniarki stale powtarzają, że na diagnozę jest jeszcze za wcześnie i że muszę poczekać, ale ja nie jestem głupi. Ktoś mi przecież musi powiedzieć prawdę. Czy resztę życia spędzę na wózku? Powiedz mi, Larry, ale szczerze.

- Lekarze naprawdę jeszcze tego nie wiedzą. Trzeba poczekać, a przede wszystkim nie

tracić nadziei.

Doskonale wiedziała, jak nieprzekonująco zabrzmiały jej słowa, ale nie potrafiła powiedzieć nic innego.

- Znasz mnie. - Robert zapatrzył się smutno w ścianę. - Ja nie potrafię czekać. Nigdy w życiu na nic nie czekałem.

Wiedziała, że żadne z dzieci Sal nie posiadało sztuki cierpliwości.

- Tym razem musisz.

- Nie mogę. Larry, powiedz mi prawdę. Jest tylko jeden procent szansy, że kiedyś będę mógł chodzić, tak?

Spuściła oczy, rozpaczliwie próbując zyskać na czasie.

- To nie jest takie proste - wydusiła w końcu. - Po pierwsze, większość ludzi na wózkach prowadzi zupełnie normalne życie...

- Ja nie jestem „większością ludzi”, ja jestem Robertem, twoim bratem. Nie żądam chyba zbyt wiele, proszę tylko, żebyś mi odpowiedziała tak lub nie. Czy resztę życia spędzę na wózku?

Nagle zrozumiała, że nie może zrobić uniku. Chciała mu wykrętnie odpowiedzieć, że czas pokaże, medycyna działa cuda i tak dalej... ale nie zrobiła tego. Znieruchomiała pod bezlitosnym spojrzeniem błękitnych oczu Roberta,

- Chyba jakiś czas będziesz musiał spędzić na wózku.

- No, sama widzisz, to nie było takie straszne, i doskonale ci poszło. Teraz pewnie ci lżej, co? - W głosie Roberta zabrzmiało szyderstwo.

Wcale nie było jej lżej. Czowała się okropnie, tak jakby nie sprawdziła się pod żadnym względem, ani jako siostra, ani jako pielęgniarka.

- Lekarze znają się na tym lepiej - wybąkała zmieszana. - Porozmawiaj z nimi.

- Skoro już wszystko wiem, nie muszę z nikim rozmawiać. Potrzebna mi pomoc, a ty jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Ponieważ nie zamierzam następnych kilkudziesięciu lat spędzić przykuty do wózka, proszę, żebyś mi dała jakieś pigułki, żebym mógł z tym skończyć.

Nie od razu dotarła do niej groza jego słów. Robert prosi ją, żeby... Nie, to niemożliwe, zbyt absurdalne, okrutne.

- Chcesz, żebym ci pomogła się zabić?

Głos Roberta był całkowicie wyprany z emocji:

- Tak. Wiem, że wymagam od ciebie bardzo dużo, ale tylko do ciebie mogę się zwrócić z tą prośbą.

- Nigdy! Nie mogę i nie chcę! Masz całe, życie przed sobą, jesteś bardzo młody.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek.

- Ty to nazywasz życiem? Wegetację na wózku? Bez możliwości grania w rugby? Bez chodzenia i biegania?

Zebrała wszystkie siły, jakie jej pozostały.

- Posłuchaj, mamy na oddziale pewną dziewczynkę, która jest sparaliżowana i niewidoma. Czyta alfabetem Braille'a i jest najbardziej pogodnym dzieckiem, jakie w życiu widziałam. Przywiozę ją tu do ciebie, żebyś przestał się nad sobą litować!

Nie wiedziała, jaki skutek odniesie jej nagły wybuch, czy nie pogorszy sprawy. Nie była psychiatrą, ale rozumiała, że musi coś zrobić i jakoś nim wstrząsnąć.

Cisza, jaka zapadła, mogła się skończyć w każdy sposób, skończyła się jednak całkiem nieźle. Twarz Roberta nagle złagodniała.

- Zawsze byłaś szczerą aż do bólu... - powiedział - i bardzo kochana. Zapomniałem o tym.

- Nie będziesz mówił głupstw? Nie wspomnisz już o pigułkach?

- Na razie nie.

- Żadne na razie! Na zawsze! Jak chcesz, to ci teraz coś poczytam. Pamiętasz, jak ci czytałam w dzieciństwie?

- Masz jakąś książkę z bajkami?

- Nie, mam gazetę.

Najgorsze chyba minęło. Laura odetchnęła i pozornie spokojnym głosem zaczęła czytać. Kiedy po chwili Robert przymknął oczy, pocałowała go i wyszła.

- Przyjdę jutro.

Na korytarzu oparła się o ścianę. Z pokoju obok wyjrzała Hilary,

- Chodź do nas, zrobię ci kawę. Usiądź i wypłacz się.

Tak właśnie zrobiła.

Tej nocy prawie nie spała i z ulgą wstała o świcie, żeby pójść na pływalnię. Postanowiła kilkakrotnie przepłynąć basen i w ten sposób odzyskać równowagę ducha.

W basenie już ktoś był. Energicznym kraulem pruł wodę i nie mogła dostrzec jego twarzy. Gdy sama się zanurzyła, złe myśli zaczęły powoli ustępować. Zapomniała, że ma na pływalni towarzysza, i dopiero głośny plusk tuż obok zwrócił jej uwagę.

- Jakie miłe spotkanie.

Odwróciła twarz w stronę, skąd dochodził głos. John Hawke uśmiechał się do niej. Był tak blisko.

- Co ty tu... - Nie skończyła, bo jakaś siła nagle wciągnęła ją pod wodę.

Zachłysnęła się i zaczęła rozpaczliwie ruszać rękami. Ta sama siła równie nagle wypchnęła ją na powierzchnię.

- Zawsze tak robiliśmy z dziewczynami w szkole - oznajmił John. - Jeśli chcesz, mogę ci teraz zrobić sztuczne oddychanie.

- Przez te twoje wyglupy wypłam pół basenu! Trzymaj ręce przy sobie!

John zrobił skruszoną minę.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

- Ale przestraszyłeś.

Powoli zaczęła się uspokajać i dopiero wtedy spostrzegła, że John nadal ją obejmuje. Ich ciała stykały się pod wodą.

- Co ty tu właściwie robisz? - spytała. Podsunęła się od niego.

John wzruszył ramionami.

- To moja poranna gimnastyka. - Spojrzał jej w oczy. - Ledwo cię dogoniłem. Przed czym tak uciekasz? Jakież złe wieści?

- Nie najlepsze.

- Z twoim bratem jest niedobrze?

- Właśnie.

Ciało Johna zbliżyło się do niej jeszcze bardziej.

- Muszę popływać...

- Będę ci towarzyszył, ale nie pływ zbyt szybko.

Przez chwilę posuwali się obok siebie w milczeniu.

- Bardzo się martwisz o swoją rodzinę, prawda? - zapytał w końcu z troską w głosie.

- Tak. - Przed nim nie musiała udawać. - Choroba to dla nich zupełnie coś nowego. Są zagubieni.

- A ponieważ ty pracujesz w szpitalu, wszystko spada na ciebie. To wielkie obciążenie, chyba wiesz.

Odezwała się dopiero pod dłuższej chwili:

- To mój obowiązek, kocham rodzinę.

- Właśnie dlatego, że ich kochasz, wszystko jest takie trudne. Poważna choroba kogoś bliskiego zawsze człowieka obciąża.

Dopłynęli do końca basenu.

- Już wystarczy, wychodzę.

John wyszedł pierwszy i podał jej rękę. Laura zawahała się, a potem, zrozumiawszy, że byłoby dziecinne opierać się, skorzystała z jego pomocy.

Stali teraz w milczeniu na brzegu basenu. W oczach Johna spostrzegła podziw dla własnej sylwetki i pożałowała, że nie ma na sobie mundurka pielęgniarki. Po raz pierwszy widziała Johna w kąpielówkach. Był bardzo męski i pomyślała, że te jego flanelowe marynarki są tylko kamuflażem, zupełnie jakby ukrywał jakąś część swojej natury. Znow zobaczyła zupełnie innego Johna. Ten był zresztą wyjątkowo niebezpieczny.

- Muszę się przebrać - powiedziała zdławionym głosem.

- Ja jeszcze trochę popływam. Po południu mamy zebranie w związku z naszym wyjazdem do Ameryki.

Prawie o tym zapomniała.

- Szybko to idzie.

- Wytypowali już dziesięcioro dzieci, mamy sobie zrobić kilka zdjęć dla celów reklamowych.

- Ja nie chcę żadnej reklamy - jęknęła.

- Nie zawsze człowiek ma to, czego chce - westchnął John filozoficznie. - Na przykład ja. Wiesz przecież, czego najbardziej chcę.

Nie czekając na odpowiedź, lekko ją pocałował. Na krótką chwilę ich mokre ciała zetknęły się z sobą. Odsunęła się z wysiłkiem.

- Pachniesz wodą z basenu - mruknęła.

- A ty, jak zwykle, pachniesz cudownie...

Odwrócił się i skoczył do wody. Spojrzała w ślad za nim, a potem poszła się przebrać. Na ustach wciąż miała smak jego pocałunku.

Zebranie nie trwało długo. Tym razem Laura - na wyraźną prośbę dyrekcji - przyszła w kompletnym stroju pielęgniarskim. Przed opuszczeniem oddziału koleżanki uczesały ją i umalowały. John włożył ciemny garnitur i krawat. Zjawili się również Mark Black i David Miller. Harry Roscoe przybył ostatni.

Chwilę porozmawiali, a później wyszli stawić czoło fotoreporterom miejscowej gazety. Doktor Black bohatercko odpowiedział na wszystkie pytania zadane przez dziennikarzy.

Potem nastąpiło ściskanie rąk i błysk fleszy. Dopiero po skończonej sesji zdjęciowej Laurze udało się zamienić kilka słów z fundatorem wycieczki.

Harry Roscoe zaprosił ją na kawę.

- Chciałam panu podziękować.

- Nie ma za co, ale mów mi Harry - odparł z uśmiechem.

- Chciałam... cię o coś zapytać... Harry. Dlaczego wybrałeś właśnie mnie i doktora Hawke'a?

Przyjrzał jej się uważnie.

- Sama wiesz, dlaczego na jednym oddziale dzieci chodzą uśmiechnięte, a na innym pacjenci boją się odetchnąć. Czyja to zasługa?

- Personelu, oczywiście.

- No właśnie, a na tym oddziale pracujesz ty. Wiem, co robisz, i trochę znam się na ludziach. Uważam, że wysyłając ciebie i Johna, robisz słusznie.

- Przecież ty nas prawie nie znasz!

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Może wiem o was więcej niż wy sami... Jestem pewien, że robisz dobry interes.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Naprawdę świetnie wyszłaś na zdjęciu. Gdybym cię jeszcze uczesała, wyglądałabyś jak gwiazda filmowa.

Rozmawiały przez telefon, mając przed sobą najnowszy numer lokalnej gazety.

- Sal - rzekła Laura - pielęgniarka wcale nie musi wyglądać jak gwiazda filmowa. Powinna natomiast wzbudzać zaufanie.

- To nie znaczy, że musi wyglądać jak szara myszka - parsknęła Sal.

Zdjęciom towarzyszył komentarz, dotyczący charytatywnej działalności pana Roscoe.

- A co to za facet obok ciebie? Muszę przyznać, że niczego sobie.

- Nazywa się John Hawke i jest nowym lekarzem. To on pierwszy zajął się Robertem po wypadku.

Na chwilę zapadła cisza.

- Jest bardzo przystojny - rzekła wreszcie Sal. - Powiedz mi, czy wy...

- Nie - przerwała jej Laura. - Jeszcze nie, ale kiedy zaczniemy, pierwsza się o tym dowiesz.

- Chciałabym doczekać twojego ślubu - westchnęła melancholijnie Sal. - Zaraz napiszę do

gazety, żeby mi przysłali twoje zdjęcie. Widzimy się dziś po południu?

- Raczej pod wieczór, kiedy przyjdiesz do Roberta. Do zobaczenia, Sal.

Wiadomość o wyprawie do Ameryki szybko się rozeszła, a po artykule w prasie wiedziało już o niej całe miasto. Koleżanki w pracy zareagowały różnie, ale zazdrosnych spojrzeń i zawistnych komentarzy było znacznie mniej niż wyrazów zadowolenia. Prawie wszyscy uważali, że Laura jest odpowiednią osobą do takiego „eksperymentu”. Jedna z pielęgniarek skomentowała to dość oryginalnie:

- Możesz sobie jechać do tej Ameryki, ale to, że bierzesz z sobą jedyne wolnego faceta na naszym oddziale, uważam za skandal.

- Przecież to nie tak... - zaprotestowała Laura, ale bezskutecznie.

Nie mogła zbyt gorliwie zająć się dementowaniem plotek, bo oboje z Johnem mieli sporo pracy. Doktor Black, zgodnie z przyrzeczeniem, załatwił wprawdzie większość spraw, ale i tak często zwracał się do niej o radę. Kiedy wreszcie zapanował jaki taki spokój, Laura mogła bez wyrzutów sumienia oderwać myśli od spraw zawodowych. Dotychczas nie podróżowała wiele, kiedyś spędziła kilka dni na Ibizie, i to wszystko. Nie sama podróż była jednak dla niej najważniejsza: najważniejszy był John.

Nie wiedziała, jak rozwinię się jej przyjaźń z Johnem i jaka czeka ich przyszłość. On na szczęście wcale jej nie popędział. Dał jej dużo czasu na rekonwalescencję, która jednak już się kończyła i trzeba było postawić diagnozę. Tylko jaką?

Odezwał się telefon.

- Gdzie mógłbym złapać Johna? - zapytał doktor Black.

- W czasie tego weekendu na pewno nie będzie go w szpitalu - odrzekła - Powiedział, że ma coś ważnego do zrobienia, wyłączył telefon.

Doktor Black był zawiedziony.

- Trudno, będę musiał poczekać do poniedziałku.

- Za godzinę wychodzę z pracy - powiedziała. - Mogę do niego wpaść i poprosić, żeby do pana zadzwonił.

- Wspaniale, to mi ułatwi wiele rzeczy.

Odłożyła słuchawkę, próbując nie zastanawiać się nad tym, dlaczego tak chętnie zaproponowała mu, że odwiedzi Johna w domu.

Ostatnie kilka minut spędziła z Natalie Platt.

- Powiedz, co wiesz o cukrzycy.

Natalie była bardzo zdenerwowana, ale opanowała się. Przymknęła oczy i wyrecytowała:

- Przy cukrzycy organizm nie może prawidłowo przyswajać cukru, bo trzustka produkuje za mało insuliny. W roku 1921 dwóch uczonych kanadyjskich odkryło insulinę. Nazywali się Banting i Best...

Laura zadała praktykance kilka dodatkowych pytań i uznała jej wiedzę za wystarczającą.

- A dlaczego badamy poziom cukru właśnie we krwi? - zapytała jeszcze.

- Bo wtedy otrzymujemy natychmiastowy wynik. Badanie moczu jest mniej skuteczne - padła odpowiedź.

- Dobrze, a jak pacjent może sam sobie badać krew na poziom cukru?

- Za pomocą specjalnych testerów.
- Co trzeba zrobić, zanim się pozwoli dorosłemu pacjentowi na taki samodzielny pomiar? Natalie zmieszała się i Laurze zrobiło się jej żal.

- To było podchwytliwe pytanie. Zaraz ci powiem. Musisz pamiętać, że pewien procent ludzi ma kłopoty z rozróżnianiem kolorów. Najpierw zawsze musisz sprawdzić, czy twój pacjent właściwie odczytuje barwy.

- Rozumiem, nie pomyślałam o tym.
- Zaraz ci to zademonstruję. Chodźmy do Alice. Mała Alice zarumieniała się, kiedy usłyszała, że będzie pomagać Laurze.
- Najpierw proszę umyć ręce - powiedziała do Natalie.

Potem Natalie delikatnie ukłuła dziewczynkę w palec, ukazała się duża kropla krwi. Pielęgniarka umoczyła w niej pasek testujący i odczekała sześć sekund.

- Teraz trzeba porównać kolor paska z tabelą na opakowaniu.
- To bardzo łatwe - westchnęła Natalie z ulgą.

W parku panowała jesień i Laura z przyjemnością pomyślała o czekającej ją wycieczce. W Teksasie i na Florydzie na pewno jest ciepło. Cieszyła ją też perspektywa spędzenia dwóch tygodni z Johnem. To, że teraz tak spokojnie szła do jego domu, świadczyło o przełomie. Przecież przed konfrontacją z Edkiem nie byłaby do tego zdolna.

Obydwie jej wizyty w mieszkaniu Johna przebiegały w napiętej atmosferze. Po raz pierwszy była u niego po wypadku Roberta, a po raz drugi na spotkaniu z Erikiem. Obydwie pokazały jej zupełnie innego Johna. Za pierwszym razem był wyrozumiałym lekarzem, za drugim okazał się wymagającym człowiekiem.

Ciekawe, jaką rolę odegra tym razem...

Spojrzała na tonący w kwiatkach balkon. Miło tak mieszkać we własnym mieszkaniu. Może i ona powinna kupić sobie coś w mieście? Podeszła pod dom i nacisnęła przycisk domofonu.

- Słucham? - zapytał kobiecy głos.

Laura przełknęła ślinę.

- Tu siostra McLeod, chciałabym się widzieć z doktorem Hawkiem.
- Ach, Laura. Wejź, proszę.

Głos był przyjazny. Drzwi się otworzyły i Laura weszła do środka. Nie spodziewała się czegoś podobnego. Przez chwilę chciała uciec, ale potem z pogardą zrezygnowała z pokusy. Unik? Nie! Już nigdy przed niczym nie ucieknie. Zresztą John jest wolnym człowiekiem. Może zapraszać do siebie kogo chce.

Dopiero na samej górze uświadomiła sobie, że tamta kobieta zwróciła się do niej po imieniu. John musiał z nią o niej rozmawiać.

Drzwi do mieszkania otworzyły się, zanim Laura do nich doszła. W progu stała kobieta. Szczupła, wysoka, starsza od Laury. Miała na sobie kostium wartości miesięcznego uposażenia pielęgniarki i bardzo staranny makijaż.

- Witam, jestem Gaynor Gladstone.
- Uściśnęły sobie dłonie. Gaynor zrobiła to z niespodziewaną wylewnością.
- John zaraz przyjdzie. Wejź, proszę.

W korytarzu Laura ujrzała podróżną torbę, na wierzchu leżał starannie złożony płaszcz z wielbłądziej wełny. Z pokoju wyłonił się John w niedbale narzuconej marynarce.

- Stało się coś? - spytał trochę zmieszany.

- Bardzo przepraszam - wykrztusiła - że ci przeszkadzam, ale doktor Black ma do ciebie pilną sprawę i prosi o telefon.

Odwróciła się, chcąc wyjść, lecz John ją zatrzymał.

- Zaczekaj, chciałbym ci coś pokazać. Coś, co cię zainteresuje, muszę tylko odwieźć Gaynor na dworzec.

- A może Laura pojechałaby z nami? - zaproponowała kobieta. - Moglibyśmy porozmawiać w samochodzie. Nie śpieszyłabym się tak bardzo - zwróciła się do Laury - gdyby nie to, że następny pociąg mam dopiero za kilka godzin.

Laura z trudem się hamowała.

- Doskonale, w takim razie pojedę z wami.

Gaynor narzuciła płaszcz, a John wziął podróżną torbę. Laura poczuła, jak zalewa ją fala zazdrości: ta kobieta musiała tu nocować...

Na prośbę Gaynor usiadły z tyłu i Laura poczuła na sobie uważne, ale i serdeczne spojrzenie nowo poznanej kobiety.

- W porządku - mruknęła do siebie Gaynor. - Twarz jest bardzo dobra, piękne oczy... Głos... Trzeba będzie popracować nad głosem.

- Figurę mam też całkiem niezłą - podpowiedziała złośliwie Laura, ale Gaynor wcale się nie speszyła.

- Tak, wiem.

- Zostaw ją w spokoju - odezwał się John. - Laura jest pielęgniarką, a chodzi nam właśnie o pielęgniarkę.

- A ty jesteś lekarzem - odparła Gaynor. - Oboje jesteście mi bardzo potrzebni.

Laura nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Cała sytuacja była absurdalna.

- Może by tak ktoś łaskawie powiedział mi, o co właściwie chodzi.

Gaynor drgnęła.

- Rzeczywiście... Bardzo przepraszam, to takie... zboczenie zawodowe. Tak często cię widziałam, że zapomniałam, że tak naprawdę wcale się nie znamy.

- Widziałaś... mnie?

John wybuchnął śmiechem.

- Ona myśli, że zwariowaliśmy, i chyba ma rację. Lauro, pozwól, że ci przedstawię: to jest Gaynor Gładstone, właścicielka studia filmów oświatowych. Zna twoją twarz, ponieważ oglądała nasz film o cukrzycy. Pamiętasz go?

Wszystko pamiętała doskonale.

- Na razie jeszcze nic nie wiadomo, ale mam kilka nowych propozycji - oznajmiła Gaynor.

- Pewna duża firma zwróciła się do mnie z zamówieniem. Filmy oświatowe mają wielką przyszłość.

Powiedziała to tak poważnie, że Laura nagle zrozumiała: Gaynor Gładstone zawsze osiąga to, czego chce.

- Jesteś bardzo dobra - ciągnęła Gaynor. - Z czasem na bierzesz doświadczenia; będziesz ze mną pracować.

Laura wyprostowała się. Ton tej kobiety przestał jej się podobać,

- Jestem pielęgniarką, a nie aktorką. Nie zamierzam zmieniać zawodu.

John spojrział na nie w lusterku.

- Może byś mi pozwoliła samemu potem porozmawiać z Laurą...

- Masz rację, tak będzie lepiej.

Gaynor oparła się wygodnie i zapatrzyła w okno. Gdy wreszcie dojechali na stację, John wysiadł, by pomóc swemu gościowi.

- Dziękuję za wszystko - rzekła Gaynor. - Wiesz, jak bardzo nie lubię pożegnań. Nie odprowadzaj mnie na peron. Do zobaczenia, Lauro. - Jeszcze raz spojrzała na Johna. - Będzie mi ciebie brakowało.

Objęła go i mocno pocałowała w usta, a potem odwróciła się i szybkim krokiem odeszła. Laura nie miała wątpliwości: Gaynor nie jest po prostu dobrą znajomą Johna, jest między nimi coś więcej... Oboje popatrzyli w ślad za smukłą, oddalającą się postacią.

- Nie odwróci się - powiedział John. - Taka już jest. Do widzenia, i koniec.

W jego głosie zabrzmiał podziw. Laura z ulgą spostrzegła, że nie było w nim żalu.

Usiadła na przednim siedzeniu. John uśmiechnął się do siebie i Laura zrozumiała, o czym myśli.

- Bądź tak dobry i odwieź mnie do domu - powiedziała chłodno. - Albo lepiej nie, przejdę się po parku.

- Chciałbym, żebyś obejrzała film, w którym brałaś udział. Potem moglibyśmy porozmawiać. Zresztą trzeba coś zjeść. Robię doskonałą pizzę. Wykręcami odpowiedni numer telefonu i gotowe.

Mimo woli roześmiała się.

- Dobrze, możemy porozmawiać, ale za pizzę dziękuję. O wpół do piątej spotykam się z Sal.

Nagle znalazła w sobie siłę i spokój.

- Mówiłeś kiedyś, że byłeś z jakąś kobietą i że rozstaliście się w przyjaźni. To była Gaynor, prawda?

- Tak.

- Bardzo mi się podobała. Wpadła tak sobie, przypadkowo?

- Gaynor nigdy niczego nie robi przypadkowo. Zadzwoiła do mnie i zapowiedziała swój przyjazd. Chciała ze mną porozmawiać o swoich planach filmowych.

Laura na chwilę zamilkła. Tylko zadając pytania, człowiek dociera do prawdy i nie popełnia błędów. Postanowiła więcej ich nie popełniać.

- Muszę cię o coś zapytać - zaczęła z namysłem. - Po prostu muszę, bo to dla mnie niezmiernie ważne. Czy ty myślisz, że wy... to znaczy, ty i ona... czy wy kiedyś znów będziecie razem?

John długo milczał i jej serce zwolna zamierało.

- Bardzo mi na niej zależało - przyznał w końcu. - Chyba byłem zakochany. Ona jednak nie

chciała mieć rodziny, wołała pracę. Trochę jej w tym pomagałem, występując w produkowanych przez nią filmach.

- I nigdy cię nie kusiło...
- Owszem, ale podjąłem już decyzję i myślę, że postąpiłem słusznie.

Laura zamyśliła się.

- Wydajecie się bardzo zaprzyjaźnieni.
- Jesteśmy przyjaciółmi, owszem. Nie możemy jednak być już kochankami, ponieważ... -

Urwał i Laura wstrzymała oddech.

- Ponieważ co?
- Zrozumiałem, na czym polega różnica pomiędzy miłością a fascynacją. Niedawno pokochałem kogoś naprawdę.
- Masz na myśli... mnie? - zapytała szeptem.
- Przecież wiesz.
- Ja... - zaczęła niezręcznie - ja teraz...

John położył jej dłoń na ramieniu.

- Wiem i rozumiem, że jest ci teraz ciężko, dlatego czekam. Ale nie chciałbym czekać zbyt długo.

- Masz zamiar współpracować z Gaynor?

Pokręcił przecząco głową.

- Chyba nie. Będę jej oczywiście pomagał, ale ja już wybrałem zawód.
- To dobrze - powiedziała Laura i zapadła cisza. Przerwał ją John, włączając kasetę.
- Lubisz Sinatrę? - zapytała zdziwiona. Mrugnął do niej okiem.
- Pewnie, to takie zabójczo romantyczne.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

W mieszkaniu posadził ją w fotelu i włączył wideo, a sam poszedł zatelefonować do doktora Blacka.

- Nie ruszaj się i nic nie mów aż do końca - poprosił, wychodząc do sąsiedniego pokoju.

Najpierw była czołówka, a potem ukazał się szpitalny oddział. Film kręcony był na pediatrii. Na ścianach Laura spostrzegła kolorowe obrazki. Nastąpiło zbliżenie, w kadrze najpierw, ukazał się pokój, potem łóżko i pochylony nad nim lekarz. Lekarz wyprostował się i spojrzał wprost w obiektyw kamery.

- Zaraz wyjaśnię, na czym polega cukrzyca. Jestem...

Film wprowadzał widza w poszczególne stadia choroby, mówił o terapii i profilaktyce, a także o tym, że życie nie kończy się wraz z rozpoznaniem choroby. Na końcu John pożegnał widzów, mówiąc z uśmiechem, że człowiek zawsze powinien zwracać uwagę na to, czy jego postępowanie jest słuszne.

Była zachwycona wystąpieniem Johna i bardzo dumna, że i ona brała udział w powstaniu czegoś tak wartościowego. John był w tym filmie dokładnie taki, jak w pracy na swoim oddziale.

- To było wspaniałe, naprawdę. - Spojrzała na niego rozjaśnionym wzrokiem. - Kiedy ty to wszystko zrobiłeś?

- To nie ja, to Gaynor. Przy tym jest bardzo dużo pracy. Ja tylko wystąpiłem i napisałem scenariusz.

Chciała mu zadać jeszcze mnóstwo pytań, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Nagle John zmienił temat.

- Jak się czuje twój brat? Wiem, że niebezpieczeństwo minęło, ale...

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Jest w bardzo złym stanie. Wie, że grozi mu życie na wózku i nie potrafi sobie z tym poradzić.

W oczach Johna dostrzegła zrozumienie.

- Wiem, jak to jest... Nigdy tego nie zapomnę.

Nie od razu go zrozumiała.

- Jak to? Nie zapomnisz... czego?

Spojrzał na nią przekornie.

- Zawsze wszystko chciałabyś wiedzieć... Dobrze, opowiem ci. Kiedy jeszcze chodziłem do szkoły, potrafił mnie samochodem jakiś pijany drań. Miałem złamane obie nogi i uszkodzony kręgosłup. Na szczęście trafiłem na dobrego chirurga, który złożył mnie w całość, ale i tak przez cały miesiąc jeździłem na wózku.

- A co ze szkołą? Byłeś przecież w internacie?

- Miałem co prawda w Londynie wujka, ale nie chciałem u niego mieszkać. Poprosiłem go tylko, żeby nie zawiadamiał moich rodziców, i jakoś sobie dałem radę.

Zamyśliła się.

- A więc wiesz, co to znaczy jeździć na wózku...

- Tak. Wydaje ci się, że wszyscy żyją, a ty jesteś skazany na nędzną wegetację. Potem przeszedłem rehabilitację i wszystko dobrze się skończyło. Pewnie właśnie wtedy postanowiłem zostać lekarzem.

- Rozumiem. Jedną z rzeczy, które mi się w tobie podobają, jest to, że masz do swojego zawodu niezwykle osobisty stosunek.

- Jedną z rzeczy? Czy to znaczy, że są jeszcze inne?

- Dobrze wiesz, o czym myślę. Bardzo cię lubię i...

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Ulotnił się gdzieś pogodny, miły nastrój. Nagle przestali być tylko parą przyjaciół gawędzących w jesienne popołudnie. John wstał i podszedł do niej. Kiedy objął ją delikatnie, poczuła, że jest jednocześnie spokojna i podniecona. Przymknęła oczy, objęła go i odwzajemniła jego pocałunki.

Teraz może już to zrobić. Należy do siebie i może sobą dysponować. Nie gnębi jej już żaden koszmar. Niespodziewanie ogarnęła ją nieprzytomna radość. Chciała krzyczeć i śmiać się. Była wolna.

Nagle John się odsunął.

- John? Co się stało? Odpowiedź była prozaiczna:

- Za dziesięć minut masz spotkanie z Sal.

Zerwała się z fotela.

- Muszę iść!

- Odwiozę cię. - Objął ją i pocałował na pożegnanie. - Wiesz, że coś się między nami zaczęło...

- Tak - odparła - i bardzo się z tego cieszę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ameryka bardzo się Laurze podobała. Zająć miała niewiele i czasem przychodziło jej do głowy, że jest po prostu na wycieczce. Prawie nie rozstawała się z Johnem. Spędzała z nim całe dnie i czuła się szczęśliwa. W jego wzroku odczytywała potwierdzenie tego, co powiedział po wizycie Gaynor. W Ameryce przebywali jednak jako opiekunowie chorych na cukrzycę dzieci i z życiem prywatnym musieli poczekać.

W skład grupy wchodziły dzieci w wieku od dziewięciu do czternastu lat. Pojechał z nimi smutny, przygaszony Brian Hughes, hałaśliwy Barry Brent i cichutka Alice Trenton, której prawie nie było widać.

Najstarsza z dziewczynek, Mary Walsh, wyglądała na dorosłą pannę, choć nie miała jeszcze piętnastu lat. Mimo że powiedzieli dzieciom, jak mają się ubrać na podróż, Mary włożyła najkrótszą spódniczkę, jaką można sobie wyobrazić. Będę musiała mieć na ciebie oko, pomyślała! Laura i poczuła się nieswojo. Nie chciała nikomu psuć zabawy. Mary zresztą okazała się bardzo pomocna i przez cały czas z wielkim oddaniem opiekowała się młodszymi dziećmi.

Na lotnisku otoczyli ich dziennikarze. Harry wręczył każdemu uczestnikowi wycieczki firmową torbę podróżną, dwie koszulki i niebieską bluzę z napisem „Biuro podróży Roscoe”. Każde dziecko dostało też identyfikator z własnym imieniem i nazwiskiem, który przypięło sobie do ubrania.

- Trudniej będzie pogubić dzieciaki w jednakowych bluzach - wyjaśnił Harry - a okazji będzie niemało. Zwłaszcza że pojedziecie zwiedzać Disneyland.

- Rozumiem już, w jaki sposób zrobiłeś majątek - powiedziała z uśmiechem Laura. - Po prostu myślisz o wszystkim.

Mrugnął do niej znacząco.

- To też, ale przede wszystkim zatrudniam właściwych ludzi.

Potem nastąpiły pożegnania. Rodzice mieli w oczach łzy, lecz dzieci raczej nie płakały, przejęte czekającą je przygodą.

Zaraz też wydarzyło się coś podniecającego, kiedy wykrywacz metalu zapiszczał z powodu aparatu do iniekcji, który miała przy sobie Mary. Następne zamieszanie wywołała pełna ampułek i strzykawek torba Johna, ale Harry zaraz sprawę załatwił i mała grupa szczęśliwie skierowała się do rękawa wiodącego do samolotu.

Wszystkie dzieci ostatnią noc spędziły w szpitalu, a po śniadaniu dostały leki zapobiegające chorobie lokomocyjnej.

Kiedy tylko samolot wzbił się w powietrze, Laura usiadła obok Johna.

- Niesamowite, prawda? - rzekł podniecony. – Latałem samolotem tyle razy, ale zawsze, kiedy startuje, przeżywam to tak, jakbym leciał pierwszy raz.

Spojrzała na niego.

- Myślałam, że taki doświadczony i bywały człowiek jak ty zacznie raczej narzekać, że nie ma miejsca na nogi, a jedzenie jest niesmaczne.

John roześmiał się.

- W głębi duszy jestem stale małym chłopcem. Czy wiesz, że Harry umówił się z pilotami, że później dzieci będą mogły na chwilę wejść do ich kabiny? Ja też się z nimi zabiorę.

Sprawdziła, czy posiłki spełniają wymogi diety i przypomniała dzieciom, że podróż samolotem nie powinna się stać pretekstem do wypicia nadmiernej ilości słodzonych napojów. Musiała również zaprowadzić młodsze dzieci do toalety, a starszym pokazać, jak korzystać ze słuchawek przy oglądaniu filmu.

Po trzech godzinach lotu do Johna podeszła stewardesa.

- Pan jest lekarzem? Przepraszam, ale mamy kłopot z pasażerką pierwszej klasy. Myślę, że to może być atak serca. Czy mógłby pan do niej zajrzeć?

Zaprowadziła ich do przedniej części samolotu.

- To właśnie jest pani Canning - powiedziała i cofnęła się, pozostawiając pasażerkę pod opieką Johna i Laury.

Pani Canning, otyła kobieta w wieku sześćdziesięciu lat, spojrzała na nich przestraszonym wzrokiem.

- To serce... - szepnęła. - Czuję się tak, jakbym zaraz miała umrzeć. Wzięłam lekarstwo, ale mi nie pomogło. Panie doktorze, niech mnie pan ratuje.

Była bardzo blada, na jej czole lśniły krople potu. John ujął jej rękę i zmierzył puls.

- Miała już pani kiedyś takie sensacje?

- Choruję na serce, ale nigdy mnie tak nie bolało. Wzięłam pod język pigułkę, ale tym razem nie pomaga. To pewnie zawał...

John zachował zwykły spokój.

- Na pewno nic groźnego. Stres spowodowany podróżą wpływa na gorsze samopoczucie i wszystko wydaje się groźniejsze niż w rzeczywistości. Gdzie jest pani lekarstwo?

- W torebce.

Laura odszukała torebkę pani Canning, znalazła lek i podała go Johnowi. Oboje wiedzieli, że dusznica bolesna przejawia się właśnie w taki sposób. Naczynia twardnieją i w przypadku przemęczenia albo jakiegoś silnego przeżycia mogą wystąpić mocne bóle. W takich razach stosuje się lek uelastyczniający ściany arterii, na przykład nitroglicerynę. Jeśli nie skutkuje po kilku minutach, to znak, że sprawa jest poważna i trzeba interweniować. Laura przestraszyła się, uświadomiwszy sobie, że są nad samym środkiem Atlantyku...

John spojrzał na buteleczkę i mruknął coś pod nosem.

- Nitrogliceryna powinna zadziałać.

Otworzył buteleczkę i wysypał jej zawartość na dłoń. Wypadły tylko dwie pigułki. Uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Ma pani leki na zapas?
- W podróźnej torbie mam nowe opakowanie.

Laura otworzyła sporą torbę i wyjęła kosmetyczkę. W środku było mnóstwo leków, a wśród nich opakowanie nitrogliceryny. John otworzył je i podał jedną pastylkę pani Canning.

- Proszę to wziąć.
- Ale ja już właśnie... przed chwilą...
- Proszę wziąć, ta pani pomoże.

Pani Canning wzięła do ust lekarstwo i wsunęła je pod język. John zwrócił się do Laury.

- Sytuacja została opanowana. Może pani wracać na miejsce, siostrze.
- Dobrze, panie doktorze - rzekła z przekąsem.

Jak on to zrobił? Po kwadransie John opadł na fotel obok niej.

- Pacjentka czuje się dużo lepiej, niebezpieczeństwo minęło.
- Ale dlaczego pierwsza pigułka jej nie pomogła?

Uśmiechnął się.

- Termin ważności upłynął trzy miesiące temu. Gdyby otworzyła opakowanie przed użyciem, lekarstwo mogłoby jeszcze zadziałać, ale nitrogliceryna może być wystawiona na dopływ powietrza tylko w ciągu ośmiu tygodni.

- Rozumiem. Powiedziałaś jej to?
- Tak. Przypomniała sobie, że jej lekarz mówił to samo.

Laura westchnęła. Sama nigdy nie była poważnie chora, ale zawsze zdumiewało ją, jak często ludzie lekceważą zalecenia lekarzy.

- Zapomniała, po prostu zapomniała... John sięgnął po książkę.
- Za jakieś pół godziny znowu do niej zajrzę.

W dziesięć minut później steward podszedł do nich z tacą, na której stała butelka szampana i dwa kieliszki.

- Kapitan Benlow chciałby państwu podziękować za pomoc. Już myślał, że będzie musiał zawrócić do Irlandii. Proszę to przyjąć w prezencie od naszych linii lotniczych.

- Serdeczne dzięki - odparł John z uśmiechem i podał kieliszek Laurze.

To była naprawdę niezapomniana podróź. Minęła tak szybko, że Laura ze zdumieniem patrzyła na zbliżającą się linię brzegów nieznanego lądu. Zapaliły się napisy informujące o konieczności zapięcia pasów, zmienił się warkot silników i samolot przeszedł do lądowania. Schodzili łagodnie nad nieznaną ziemię, rozróżniając z wolna palmy, zielone pola i błękit jezior. Byli w Orlando na Florydzie, krainie Walta Disneya.

Na lotnisku czekali na nich opiekunowie: Dwight Johnson i Helen Zwingli. Oboje młodzi, przemili i doskonale zorganizowani. Laura omal nie wybuchnęła śmiechem na ich widok, nawet John z trudem się opanował. Młodzi ludzie mieli na sobie szorty i koszulki opatrzone firmowymi napisami Harry'ego. Chłopak był wysoki, szczupły i jasnowłosy, a dziewczyna wysoka, szczupła i ciemnowłosa.

- Witamy państwa - powiedział Dwight. - Mam nadzieję, że mieli państwo dobrą podróź. Ja zajmę się bagażem, a Helen zapozna się z dziećmi. Teraz idę po samochód i za piętnaście minut będę z powrotem. - Potem odwrócił się do grupy dzieci otaczających już Helen. -

Czołem, dzieciaki, jestem Dwight. Zaraz wracam.

- Odpowiedzcie mu: „Dobrze, Dwight” - poleciła Helen.
- Dobrze, Dwight! - odkrzyknęły dzieci chórem.

John odciągnął Laurę na bok.

- Skoro wszystko tak świetnie się układa, może ja teraz zapoznam się z tobą, jak mówi Dwight

- Nie lubię natarczywych mężczyzn - odparta Laura i roześmiała się. - A mówiąc poważnie, tych dwoje bardzo mi się podoba. Dobrze się zajmą naszymi dziećmi.

- Najlepsza i tak zawsze jesteś ty.

Drgnęła, gdy lekko musnął jej ramię. Kiedy ulokowali się w klimatyzowanym mikrobusie, Helen przysiadła się do Laury.

- Oboje z Dwightem studiujemy na uniwersytecie. Dorabiamy sobie u pana Roscoe, żeby móc opłacić studia.

- Jak się wam z nim pracuje?

- To doskonały szef. Można pomyśleć, że jest Amerykaninem. - Było oczywiste, że w ustach Helen to prawdziwy komplement. - Jest wymagający, ale dobrze płaci. Zaangażował nas do pracy przy dzieciach, z czego bardzo cieszymy. Proszę nam zawsze od razu mówić, gdyby coś było nie tak jak należy.

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby - zaprzeczyła zupełnie szczerze Laura.

Do Orlando jedzie się z lotniska ponad pół godziny.

Dwight prowadził mikrobus, a Helen urozmaicała dzieciom drogę, opowiadając im o miejscach, które miały zwiedzić w ciągu następnych dni. Zatrzymali się przed sympatycznie wyglądającym hotelem.

- A teraz szybka kolacja i do łóżek - powiedział John do Laury. - Spały co prawda w samolocie, ale i tak jest pięć godzin różnicy czasu. Przebadam je jeszcze przed snem,

- Doskonały pomysł.

Zajęli całe skrzydło hotelu z dwiema obszernymi sypialniami, osobno dla dziewcząt i chłopców. Helen i Dwight mieli spać z dziećmi; Laura i John dostali osobne pokoje. Po kolacji zjedzonej w hotelowej restauracji John zabrał dzieci do swojego pokoju, zbadał je i zmierzył poziom cukru. Laura zrobiła zastrzyki z insuliny najmłodszemu i dopilnowała, żeby starsze też zaaplikowały sobie lekarstwo.

- Pamiętajcie - upomniał John dwójkę młodych opiekunów przed udaniem się na spoczynek - gdyby cokolwiek się działo, natychmiast mnie wezwijcie, bez względu na porę.

- Oczywiście, panie doktorze.

Laurze nie pozostało już nic do zrobienia. Dwight i Helen szybko zjednali sobie sympatię dzieci i nawet nie trzeba było im asystować, kiedy pomagali swoim podopiecznym w łazience. Teoria Harry'ego sprawdziła się raz jeszcze. Tym razem też wybrał właściwych ludzi. Laura powiedziała wszystkim dobranoc i poszła do swojego pokoju.

Dotychczas nie zdążyła go jeszcze dokładnie obejrzeć. Zrobiła to teraz i nie mogła wyjść z podziwu. Pokój był mniej więcej cztery razy większy niż jej mieszkanko w szpitalu. Ściany pokrywała tapeta, w rogu stał wielki telewizor, a na środku wygodne łóżko. W łazience piętrzył się

stos białych ręczników.

Włączyła telewizor i zaczęła się rozpakowywać, wieszając ubrania w nieco za dużej na jej potrzeby szafie. Nie zabrała dużo rzeczy, bo... nie miała czego zabierać. Zastanowiło ją, dlaczego nigdy nie kupuje sobie ubrań. Przecież ma pieniądze...

Gdyby nie Sal, nie miałyby nawet bikini. Wzięłyby ze sobą swój stary kostium kąpielowy.

- Nie będziesz się kąpać w czymś takim! - protestowała Sal. - Jesteś za zgrabna, żeby się przykrywać taką szmatą. Powinnaś pokazać jak najwięcej!

- Wcale nie chcę - odpowiedziała wtedy ciotce, ale teraz nie była tego taka pewna.

Znajomy głos sprawił, że odwróciła się gwałtownie. W telewizji nadawano właśnie angielski serial, który przed tygodniem oglądała u siebie w pokoju. Tylko zabudowania Oksfordu nie bardzo pasowały do tego miejsca tutaj.

Z krótkiej zadumy wyrwało ją ciche pukanie do drzwi. Otworzyła je i ujrzała Johna z dwoma plastikowymi kubeczkami.

- Nie śpisz jeszcze? Można? - zapytał i poczekał, aż gospodyni zaprosi go do środka.

- Wejdz na chwilę, chociaż jestem już trochę śpiąca. Przecież dla nas to druga nad ranem.

Usiadł na łóżku i podał jej kubek.

- Spróbuj, to bardzo smaczne.

Napój był ciepły i jakiś dziwny w smaku. Taki... inny.

- Co to jest? - spytała z zaciekawioną.

- Herbata owocowa. Amerykanie uwielbiają ziołowe herbatki, uważają, że są bardzo zdrowe i orzeźwiające.

Znowu zanurzyła usta w ciemnym, ciepłym płynie. Nieznany dotąd smak był naprawdę przyjemny.

- Zawsze próbujesz nowych rzeczy w nowym miejscu? - zapytała.

- W miarę możliwości. Tutaj mają dużo różnych gatunków herbaty. Jutro napijemy się cynamonowej. Spojrzała na niego uważnie. Czy to znaczy, że mnie zapraszasz?

- Tylko na filiżankę cynamonowej herbaty.

Laura nie odpowiedziała. Z każdym łykiem napój coraz bardziej jej smakował. Siedziała na łóżku z mężczyzną w obcym mieście i nagle... ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Tak jakby wszystkie trudy podróży i znużenie wywołane zmianą czasu zwały się na nią w jednej chwili i przygniotły swoim ciężarem. Poczwała, że John wyjmując jej z rąk pusty kubek, i usłyszała lekko drwiący głos:

- Wiem, że bywam nudny, ale żeby aż tak... Dobranoc, Lauro. Rozbierzesz się chyba sama.

- Oczywiście... - Z trudem wymawiała słowa. - To tylko zmęczenie podróży. Dobranoc... John.

Oczy zamykały jej się same. John lekko pocałował ją w policzek.

- Dobranoc - powtórzył i wyszedł z pokoju.

Rozebrała się, zgasiła telewizor i dowlokła do łazienki, żeby umyć zęby. Potem z ulgą położyła się do łóżka i zasnęła jak kamień.

Obudziła się, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Olśnienie przyszło nagle: jest w Ameryce, na Florydzie! Ktoś zapukał do drzwi i uświadomiła sobie, że puka już tak od pewnego czasu. Wskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi, chwytając po drodze szlafrok. John tym razem trzymał w ręku

tylko jeden kubek.

- Herbata cynamonowa, proszę pani.
- Dziękuję i przepraszam, ale nie wiem, co się ze mną wczoraj stało.
- Po prostu byłaś bardzo zmęczona. - John wszedł do środka. - Zniknęła gdzieś niezmordowana siostra McLeod, którą wszyscy tak kochamy.

Laura rozejrzała się po pokoju; od otwartych drzwi łazienki wiódł szlak rzuconych byle jak ubrań, kończący się dwiema sztukami bielizny tuż przy samym łóżku.

- Zaraz zejdę - rzekła pośpiesznie. - Teraz muszę wziąć prysznic.

Herbata cynamonowa dość jej smakowała, ale Laura nie była pewna, czy codziennie rano chce pić właśnie coś takiego. Prysznic za to był wspaniały i postawił ją na nogi. Miała uczucie, jakby się dostała pod ciepły wodospad. W dziesięć minut później zeszła na dół i rozejrzała się. Miała na sobie tylko szorty i koszulkę. John w takim samym stroju siedział nad brzegiem basenu.

- Usiądź na chwilę - poprosił. - Zaraz zaczynamy pracę.
- Pracę? W taki dzień?
- Cześć - rozległ się za nimi wesoły, energiczny głos. - Wszyscy już czekają, możemy jechać. Czy przed wyjazdem zbada ich pan jeszcze, doktorze?

Za nimi stał Dwight, jak zwykle bardzo przejęty swą rolą.

- Zobaczymy tylko, czy wszystko w porządku.

Pierwszego dnia mieli w planie zwiedzanie Magicznego Świata Walta Disneya. Postanowiono najciekawsze miejsca odwiedzić w pierwszej kolejności. John i Laura wiedzieli, że małe dzieci szybko się zmęczą. Podjechali mikrobusem na przystań i dalej popłynęli promem. Na lądzie rozdzielili się na dwie grupy: John i Helen mieli się zająć starszymi dziećmi, a Laurze i Dwightowi przypadły maluchy.

- Spotykamy się na lunchu.

Spędzili naprawdę niezwykle przedpołudnie. Młodsze dzieci rozpoczęły wizytę od Krainy Fantazji, a potem udały się na zwiedzanie Świata Bajek. Starsze poszły wprost do Krainy Jutra, a potem do Świata Kosmosu, skąd nie można ich było wyciągnąć. Po lunchu maluchy musiały odpocząć i Laura zabrała dzieci na przegląd filmów.

Wkrótce potem opuścili Krainę Cudów, bo John i Laura postanowili rozsądnie dawkować uczestnikom wyprawy przeżycia i wysiłek fizyczny, żeby ich zbytnio nie wyczerpać. Resztę dnia spędzili, oglądając Orlando z okiem mikrobusu i słuchając ciekawych opowieści Helen o żyjących na Florydzie ptakach.

Następnego dnia zwiedzali studio filmowe Walta Disneya. Widząc, jak bardzo Helen i Dwight przykładają się do pracy, John postanowił dać im dwa wieczory wolne. Wieczorami nie było dużo pracy, bo dzieci wyczerpane emocjami bez protestu kładły się do łóżek i natychmiast zasypiały.

Udali się też na przylądek Canaveral, miejsce startu statków kosmicznych. Dzieci obejrzały film o badaniach przestrzeni i obejrzały miejsce startu rakiet. W drodze powrotnej Dwight nagle zwolnił i wskazał palcem w górę.

- Macie szczęście, dzieciaki. Patrzcie! O, tam na słupie telegraficznym siedzi wielki biały orzeł. Ten ptak to symbol Ameryki.

Laura spojrzała we wskazanym kierunku. Ogromny ptak siedział nieruchomo z lekko uniesioną głową. Widoczny na tle rakiet przylądka Canaveral, naprawdę wyglądał jak symbol potęgi Stanów Zjednoczonych.

Wieczorem Dwight i Helen zajęli się dziećmi, więc Laura miała wolne. Po upalnym dniu marzyła tylko o tym, żeby wziąć prysznic i umyć włosy. Potem postanowiła się przebrać; dość już miała szortów i bawełnianych koszulek. Sięgnęła do szary po białą sukienkę. Nareszcie ubierze się jak kobieta, a nie jak... turystka.

Było już ciemno, kiedy wyszła z pokoju, lecz nadal panował upał. Przed sobą miała starannie wypielęgnowane i nawodnione trawniki hotelowe, palmy i podświetloną od dołu wodę w basenie. Na brzegu siedział John.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział, gdy podeszła. - Prawie już zapomniałem, jak cudownie ci w sukience.

Wskazał jej miejsce obok siebie.

- Moja nauczycielka angielskiego - zaczęła Laura, siadając - zawsze mówiła, że używanie takiego słowa jak „cudowny” świadczy o ograniczonym słownictwie i niezbyt bogatym życiu wewnętrznym. Nigdy nie wyszła za mąż i uczniowie mówili, że pewnie dlatego, że nie znalazła mężczyzny, który by miał bogatsze słownictwo niż ona.

- Doskonały powód, żeby nie wychodzić za mąż - skomentował John. - Ty chyba zawsze byłaś dobra z angielskiego, prawda?

- Jak na to wpadłeś?

- Na pewno lubisz czytać?

- Owszem, a ty?

- Ja też. To miłe zajęcie... w samotności.

- Nie robię tego dlatego, że jestem samotna - obruszyła się Laura. - Po prostu lubię czytać.

- Co za różnica? Jaka tu piękna pogoda... - Zmienił temat. - U nas w Anglii o tej porze dnia nawet w lecie bywa chłodno.

Laura spojrzała w niebo.

- Wszystko tu jest, woda, palmy, wietrzyk, gwiazdy, nawet księżyc. To...

- Romantyczne?

- Nie, chciałam powiedzieć... cudowne.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Z Johnem wszystko było łatwe; rozumiał ją dobrze, ale i nieco przerażał... Miał w sobie determinację i stanowczość, której się bala. Poza tym był przystojny i bardzo ją pociągał.

To mężczyzna mojego życia, pomyślała, to na niego tak czekałam. Uświadomiła sobie, że wie o tym od dawna, może nawet od chwili, w której ujrzała go po raz pierwszy. Dlaczego w takim razie tak długo zwleka? Dlaczego ukrywa prawdę przed samą sobą?

- Pewnie chcesz pić - głos Johna wyrwał ją z zamyślenia. - Zamówiłem coś dla ciebie.

Podał jej smukłą szklankę. Bez żalu wróciła na ziemię, tu też było... cudownie. Nie mogła tylko powiedzieć Johnowi, że właśnie zrozumiała, że go kocha.

- Co to jest?

- Amerykańskie piwo. Ja piję to samo.

- Nie lubię piwa - odparła automatycznie. Dziewczeta w klubie rugby zawsze zamawiały piwo...

- To jest zupełnie inne, spróbuj. Jest lekkie i naprawdę orzeźwia.

Lekko umoczyła usta w napoju. Nie był zły. Spróbowała raz jeszcze i doszła do wniosku, że da się lubić. W niczym nie przypominał przesłodzonych napojów, jakie dotychczas pijała.

Wspaniale było siedzieć z Johnem pod palmami i sączyć zimne, słabe piwo. Jeszcze kilka minut temu uważała, że spędzi ten wieczór w towarzystwie mężczyzny, którego bardzo lubi, a teraz... siedzi obok człowieka, którego kocha. Wszystko nagle się odmieniło, ale nie mogła mu tego powiedzieć!

- Jesteś zmęczony? - zapytała nieśmiało.

John zamyślił się.

- Jestem bardzo zadowolony z tego, co zrobiliśmy, z przebiegu tej wyprawy i tak dalej, ale nie czuję się zwolniony z odpowiedzialności i nie mogę się całkowicie odprężyć. - Spojrzał na nią. - Ale tutaj jest tak przyjemnie cicho i spokojnie.

- Tak...

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś coś przeżywała. Odwróciła od niego wzrok. Nie teraz, teraz jeszcze nie może mu powiedzieć.

- To wszystko było takie inne. Jestem trochę wytrącona z równowagi.

- Tak, to była podróż pełna niespodziewanych odkryć... Dla dzieci i dla nas.

Zrozumiała, że on wie, co ona czuje i o czym nie chce mówić. Objął ją, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Oparła głowę na jego ramieniu. Nie myśleć, o niczym nie myśleć...

Po chwili John lekko ją pocałował. Przymknęła oczy i objęła go. Całował ją coraz mocniej i namiętniej. Była zdziwiona, gdy się odsunął.

- Jak dobrze... - Ujął jej dłoń i położył sobie na piersi.

- Serce ci bije tak szybko - szepnęła.

- A wiesz dlaczego?

Nie odpowiedziała. Ujęła jego dłoń i położyła na swojej piersi. Ten gest zaskoczył ją samą.

- Wiem - powiedziała - bo moje bije tak samo. To...

- Panie doktorze, jest pan tam? - usłyszeli głos Dwighta i w tej samej chwili chłopiec wbiegł na basen.

- Stało się coś? - zapytał spokojnie John.

- Tak. Gareth nie może spać, chyba ma gorączkę.

John wstał.

- Już idę. Poczekaj na mnie, Lauro. Napijemy się jeszcze czegoś.

Nastrój jednak prysnął i Laura uświadomiła sobie, że nie znaleźli się tutaj dla przyjemności. Mają konkretne obowiązki, od których nie może odciągać Johna.

- Pójdę się położyć - powiedziała - jestem bardzo zmęczona. To był taki... nadzwyczajny dzień. Muszę go przemyśleć. Gdybyś potrzebował nie jej pomocy, natychmiast mnie obudź.

Pogrążona w cieniu twarzy Johna nie wyrażała nic.

- Na pewno, jeśli będzie trzeba - rzeki spokojnie.

Odszedł wraz z Dwightem, a Laura udała się do siebie, wiedząc, że na pewno nie zmrzy

oka. Po raz drugi wzięła prysznic, zapominając, że robiła to niecałą godzinę wcześniej. Położyła się, zgasiła światło i zapatrzyła w ciemność. Nie chciała, żeby John do niej przyszedł, wiedząc, że nie śpi.

Zakochała się w nim. Tak długo się przed tym broniła, że teraz nie wiedziała, co począć. Przecież nie może po prostu wyznać mu miłości. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby byli tu sami, ale przyjechali na Florydę z dziećmi. Zresztą nie umiała okazywać uczuć. Nigdy tego nie robiła ani nie potrafiła mówić o miłości.

Dwadzieścia minut później na dole rozległy się głosy, a potem trzasnęły jakieś drzwi. Ktoś wolno szedł korytarzem... Wiedziała, że to John. Kroki nieco zwolniły... minęły jej drzwi i oddaliły się. Mogła nareszcie spokojnie zasnąć. Ale nie zasnęła.

Nazajutrz Gareth czuł się już dobrze, John jednak uznał jego wczorajsze niedomagania za sygnał, że trzeba zwolnić tempo. Rano wybrali się do Ogrodu Botanicznego, a po powrocie Laura i Helen rozpoczęły pakowanie. Czekał ich nowy etap wakacji. Przedtem Laura musiała porozmawiać z Johnem.

- Przepraszam, że tak wczoraj uciekłam, ale naprawdę byłam zmęczona.

- Nic się nie stało - powiedział swoim zwykłym, spokojnym głosem. - Cieszę się z naszej rozmowy.

Spojrzała na niego zdziwiona. Czyżby wiedział wszystko?

- Było mi z tobą wczoraj bardzo dobrze - wykrztusiła.

Nie powiedziała wiele, ale dobre i to na początek.

- Lubię być z tobą. - Położył ręce na jej gołych ramionach. - Wszystko już spakowane?

Następnym etapem podróży była jazda pociągiem do El Paso w Teksasie. Laura sprawdziła na mapie: ponad dwa i pół tysiąca kilometrów! Dwight i Helen jechali z nimi. Była to jedna z rutynowych tras Harry'ego.

- Podróż Amtrakiem w niczym nie przypomina zwykłej podróży pociągiem - wyjaśnił Dwight. - To niesamowite i zupełnie nie męczy.

- Niezłe połączenie - mruknęła do siebie Laura.

Na dworcu w Orlando nie było peronów. Pociąg po prostu przyjeżdżał i wsiadało się do niego. Dzieci były bardzo podniecone. Pojazd, który nadjechał, rzeczywiście w niczym nie przypominał zwykłego pociągu. Był dużo od niego większy, dwupoziomowy i nadzwyczaj cichy. Wsiedli do środka i ulokowali się w luksusowych przedziałach. W każdym nocował z dziećmi jeden dorosły.

Laura rozkoszowała się podróżą. Pierwszego dnia niemal nie odchodziła od okna. Przed nią niby film toczyło się życie, wieś przechodziła w miasto, domy ustępowały miejsca łąkom i wodospadom. Mogła patrzeć na przepływające krajobrazy i myśleć.

Pociąg jechał wolno, przystając często na małych, schludnych stacjach. Kolację zjedli w wagonie restauracyjnym, a potem udali się na spoczynek. Było coś niezwykle kojącego w miarowym stukocie kół i świadomości, że się zdąża do wyznaczonego celu.

Następnego dnia rano Dwight i Helen przynieśli im śniadanie z bufetu. Później dzieci zajęły się swoimi sprawami; niektóre czytały, inne grały w jakieś gry albo po prostu patrzyły przez okno.

- Wyglądają na zmęczone, są jakieś apatyczne - powiedziała Laura. - Dlaczego, jak myślisz?

- Nie wiem. Może miały zbyt dużo przeżyć.

Lekko dotknął jej ręki i odszedł. W pociągu nigdy nie zostawali sami i nie mieli okazji porozmawiać. Laura nawet cieszyła się z tego.

Nowy Orlean przywitał ich ciepłym deszczem. Postanowili nie wyprowadzać dzieci z pociągu, jedynie John przespacerował się po stacji. Dalsza część podróży wiodła przez pola i łąki. Dzieci spały, a John spoglądał na nie z niepokojem.

Następnego wieczoru wszyscy się ożywili. Po kolacji Helen i Dwight zaprowadzili maluchy na film, a starsi zostali w saloniku wypoczynkowym na górze. Widok był niezwykły. Przeszkłone ściany, wygodne fotele i małe stoliki zachwyciły Laurę. W barku zamówili coś do picia. Krajobraz Teksasu przesuwiał się majestatycznie przed ich oczami.

John przyniósł do stolika piwo i Laura z przyjemnością wypila łyk napoju, którego dotychczas nie lubiła. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w obrazy migające za oknami. John siedział obok w milczeniu. To, że z Johnem nie trzeba było rozmawiać, a cisza w jego obecności nie miała w sobie nic uciążliwego, też było cudowne. Rodzina Sal stale coś mówiła, pokrzykiwała, przekomarzała się...

Za oknem zapadał zmierzch i na farmach zapalały się światła. John ujął dłoń Laury, a ona poddała mu się ze świadomością, że dzieje się nieuniknione.

- Jesteś szczęśliwa?

- Jestem bardzo szczęśliwa. Podjęłam pewną decyzję i trochę się przestraszyłam, ale to nic. Jesteśmy tysiące kilometrów od domu i zdążamy ku czemuś nieznanemu, lecz bardzo podniecającemu. Ja również czuję, że podążam ku czemuś nowemu.

Spojrzała na niego. John wszystko zrozumiał.

- To bardzo dobrze - powiedział. - Dla ciebie i dla mnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przespali spokojnie następną noc, a kiedy się obudzili, widok za oknem zmienił się całkowicie. Zniknęły zielone łąki i pola, ustępując miejsca pustym przestrzeniom. W oddali zaczęły majaczyć góry.

Dzieci nagle nabrały wigoru. Powszechna apatia ustąpiła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dwight i Helen próbowali wypełnić swoim pupilom czas gramami i rozmowami, ale niezbyt skutecznie: panowało zbyt wielkie podniecenie.

- Spójrzcie na te góry - powiedział Dwight, wskazując ciemny kształt na horyzoncie - należą już do Meksyku. Tam jest pustynia i El Paso.

- Kraina Indian i kowbojów - dodała Helen.

- Czy zobaczymy prawdziwych Indian? - zapytała z niepokojem mała Alice. - Będą nas ścigali?

- Zobaczymy Indian, ale nikt nas nie będzie ścigał - uspokoiła ją Helen.

Z ulgą wysiedli z pociągu i rozprostowali nogi. Wszyscy odczuli wynikającą z odległości

zmianę klimatu. Zniknęło rozleniwiające słońce Florydy; nastrój skłaniał do działania.

Przed stacją czekał na nich wysoki, opalony mężczyzna z długimi czarnymi włosami zebranymi w kucyk. Ubrany był w płócienną koszulę i dżinsy, spięte skórzanym pasem ze srebrną klamrą, w której tkwił turkus.

- Cześć - powiedział. - Nazywam się Jim Peyote i będę waszym kierowcą.

Mała Alice wtuliła się w spódnicę Laury.

- Jesteś Indianinem? - zapytała przestraszona.

- Tak. Należę do plemienia Navaho.

- A gdzie masz pióropusz?

- Zostawiłem tam, gdzie mieszkam. ~ Będziesz strzelał do kowbojów? Jim Peyote z powagą pokręcił głową.

- Już nie strzelamy do kowbojów. A teraz proszę wszy stkich do samochodu. Ruszamy w drogę.

Helen i Dwight znali Jima.

- Jim mieszka tutaj na stałe, pokaże nam mnóstwo ciekawych rzeczy - poinformowała Helen.

- Harry Roscoe przysyłał mi już różne grupy - wyjaśnił Jim. - Miewamy tu nieraz gości z Anglii.

Opuścili El Paso i przez góry dotarli na pustynię. Po pewnym czasie Jim zatrzymał mikrobus i poprosił, by wysiedli.

- Teraz będzie trzeba kawałek przejść pieszo.

- Bardzo mi się tu podoba - szepnęła Laura do Johna. - Jakie cudowne powietrze, czujesz? I ta przestrzeń... Tu znajdzie się miejsce dla każdego.

John wciągnął w płuca powietrze.

- Doskonałe dla dzieci z chorobami płuc - skomentował trzeźwo. - Można by tu dla nich otworzyć sanatorium.

- Bądź chociaż przez chwilę romantyczny.

- Do usług, kiedy tylko zechcesz.

Zaczerwieniła się i nie powiedziała nic więcej. Jim prowadził dzieci, dorośli szli w pewnej odległości za nimi.

- Zobacz, tu są nawet rośliny, jakieś trawy... - Laura rozejrzała się dokoła. - Nie takie jak te nasze trawniki...

Jim zatrzymał się i dzieci go otoczyły.

- Mój dziadek łowił zwierzynę za pomocą łuku i strzał - powiedział. - Musicie wytropić coś do jedzenia. Co tu widzicie?

Wskazał im niewyraźne ślady na piasku.

- Nie ma śladu kopyt ani łap - odezwał się jeden ze starszych chłopców. - To nie mogło być żadne zwierzę.

- A czy wszystkie zwierzęta mają kopyta albo łapy?

- Nie, na przykład wąż nie ma - odezwał się inny.

- Właśnie, na przykład wąż. A jak długi może być wąż?/?

Laura przestraszyła się, że dzieci mogą wpaść w panikę, ale Jim kompletnie je oczarował. Nie bały się, bo on się nie bał. Ufnie poszły za nim po śladach węża, a on po drodze wprowadzał je w tajniki tropienia śladów, wyjaśniając, po czym się poznaje, czy tropiony biegł, jak był duży i co zrobić, żeby go skutecznie podejść, samemu nie zostawiając śladów.

- Harry Roscoe znowu trafił w dziesiątkę – powiedział John z podziwem. - Jim Peyote jest wspaniały.

Pierwszą noc spędzili w drewnianym schronisku na terenie Nowego Meksyku. Wieczorem John badał dzieci, a Helen i Dwight pilnowali kolacji.

- Może pójdziemy się przejść - zaproponował John, gdy dzieci już poszły spać.

Laura natychmiast się zgodziła: wymarzona okazja, żeby pobyć z nim sam na sam. Pomyślała, że mógłby ją wziąć za rękę.

Dotarli na koniec obozowiska, gdzie przy wygaszonym ognisku siedział Jim. Uniósł dłoń w powitalnym geście, ale nie odezwał się. John i Laura również usiedli. Przed nimi rozciągała się pustynia, na horyzoncie ciemniały góry. Dzięki przejrzystości powietrza można było odróżnić kolory mimo zapadającego zmroku. Wokół była pustka, przestrzeń i dziwny zapach wolności.

John ujął jej rękę i Laura poczuła, że pogodziła się z całym światem. Nie musiała nic mówić, spokój był w niej i spokój panował dokoła. Nagle dobiegł ją odgłos kroków, chociaż to nie był lekki dziecięcy chód. Najwyraźniej zbliżała się osoba dorosła. Odwróciła się, pewna, że zobaczy Helen albo Dwighta.

- Witajcie, miło was widzieć.

Zdumienie ustąpiło miejsca dojmującej przykrości. Przed nimi stała... Gaynor Gladstone we własnej osobie. Niewielkim pocieszeniem było to, że John wyglądał na równie zdumionego co Laura.

- Gaynor! Co ty tu robisz? - rzekł z umiarkowanym entuzjazmem.

- To nie było trudne. Zadzwoiłam do szpitala, a potem do Harry'ego Roscoe. Wyobraźcie sobie, jaka byłam szczęśliwa, kiedy się dowiedziałam, że jesteście w Nowym Meksyku. To niedaleko od Los Angeles.

Usiadła po drugiej stronie Johna i Laura z ulgą spostrzegła, że przynajmniej nie wziął jej za rękę.

- Miło cię widzieć - powiedział opanowanym, normalnym głosem. - Dlaczego dzwoniłaś do szpitala? Towarzysko?

- Nie. Mam dla ciebie pracę. Wymarzoną, wspaniałą pracę. Właśnie podpisaliśmy kontrakt z największym koncernem farmaceutycznym na całym wybrzeżu. Chcę, żebyś pracował u mnie jako główny konsultant medyczny i komentator. Musimy omówić warunki. - Dopiero wtedy spostrzegli, że ma w rękach grubą teczkę. - Tu są wszystkie papiery, możesz je zaraz przejrzeć.

Gaynor nie kryła podniecenia.

Laura zastygła w oczekiwaniu na reakcję Johna. Dotychczas czuła się doskonale w szortach i koszulce, ale przy Gaynor, ubranej w nieskazitelny biały kostium, poczuła się jak kopciuszek.

- Skoro mamy mówić o interesach - rzekł John, wstając z miejsca - powinniśmy chyba zrobić to w jakimś bardziej odpowiednim miejscu. Przepraszam na chwilę.

Musnął dłoń Laury i odszedł wraz z Gaynor.

- Szeft studia obejrzał twoje filmy i...

Laura zdała sobie sprawę, że nadal niewiele wie o Johnie. W ciągu ostatnich kilku dni dużo się wydarzyło, zakochała się w nim. Teraz przyszło jej do głowy, że zgotowała sobie straszny los: czeka ją ból i rozpacz niespełnionej miłości...

Jim siedział nieruchomo; jego ciemna twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zupełnie jakby nie zauważył nagłego pojawienia się Gaynor.

- Jak tu pięknie - odezwała się Laura. - Nigdy ci się nie znudził widok pustyni?

- Nie - odparł Jim po chwili milczenia. - Urodziłem się tu, to moja ojczyzna. Na jednej z tych gór Pierwsza Kobieta dała tę ziemię we władanie moim przodkom z plemienia Navaho. Przyszedłem na świat wśród piękna.

- Nie przeszkadza ci to, że stale przyjeżdża tutaj ktoś obcy? - zapytała.

Odpowiedź znowu padła dopiero po pewnym czasie:

- Moje plemię nie jest bogate, ale wszystkim można się podzielić z innymi. Ojczyznę też, - Przeniósł na nią lekko rozbawione spojrzenie. - Ja nie jestem zwykłym czerwonoskórym. Skończyłem antropologię na uniwersytecie w Nowym Meksyku, znam cztery języki. Ja być cywilizowany człowiek...

Laura zaczerwieniła się.

- Przepraszam, prawdę mówiąc, domyślałam się tego.

- Nic się nie stało.

- Chciałam cię o coś zapytać... Czy ludzie z plemienia Navaho różnią się czymś od... białych?

- Od białych twarzy? - uśmiechnął się. - Różnic jest bardzo wiele. Kiedy do kogoś przychodzisz, czekasz cierpliwie przed wejściem, aż cię poprosi do środka. Wchodzenie bez zaproszenia jest uważane za przejaw złego wychowania Nigdy nikomu nie wolno przerywać, kiedy mówi. I najważniejsze: milczenie uważane jest za rzecz bardziej wymowną od słów. Im więcej stów z siebie wyrzucasz, tym mniej mówisz.

Zrozumiała, że nie tylko zauważył nagłe zjawienie się Gaynor, ale od razu właściwie ocenił sytuację.

- A ty... żałujesz, że nie jest już tak jak dawniej?

- Wiatr pustyni zasypuje stare ślady, trzeba odnajdywać nowe.

Znowu zapadła cisza i Laura poczuła, jak bardzo milczenie może być wymowne. Tak, milczeniem można wyrazić bardzo wiele, a zbyt pochopnymi słowami można bardzo dużo zepsuć. Głos Jima przypłynął do niej jak z niezmierzonej dali:

- Ludzie z plemienia Navaho wierzą w harmonię i piękno, nazywają to Hohzho. Wierzą również w prawdę, ponieważ stanowi jedność z pięknem i harmonią. Kiedy ktoś cię urazi, a ty nie pragniesz natychmiast odplacić mu tym samym, osiągasz Hohzho. Kiedy karzesz kogoś za

zło, które ci uczynił, oddalasz się od Hohzho, niszczysz piękno. Między naturą a ludźmi musi panować harmonia, pomiędzy tropionym a tropicielem również. Myśliwy może zabić, żeby zdobyć pożywienie, ale przedtem musi poprosić swoją zdobycz o przebaczenie i nigdy nie zabijać dla przyjemności. Pomiedzy kobietą a mężczyzną też musi panować harmonia.

Nie odpowiadała, on zaś ciągnął:

- Choroba jest brakiem harmonii, zaburzeniem piękna. Można ją wyleczyć odpowiednim rytuałem i śpiewami. – Na jego twarzy pojawił się przekorny uśmiech. - Ale kiedy miałem zapalenie wyrostka robaczkowego, to pojechałem do szpitala.

Siedzieli dalej w milczeniu, a złota kula słońca powoli chowała się za góry.

Najpierw chciała iść prosto do pokoju i położyć się, ale potem doszła do wniosku, że tak uczyniłaby dawna Laura. Uciekła z obawy, że przegra. Teraz wszystko się zmieniło: czas stawić czoło sytuacji.

John i Gaynor długo nie opuszczali pokoju. Dawna Laura natychmiast zaczęłyby coś podejrzewać. Nowa Laura usiadła obok wejścia i zaczęła przeglądać gazetę.

Wreszcie wyszli. Gaynor uściśnęła jej rękę i powiedziała, że bardzo żałuje, że nie zdążyły porozmawiać. Potem wsiadła do wielkiego, wynajętego samochodu.

- Pamiętaj, co mi przyrzekłeś! - krzyknęła do Johna i odjechała.

- Chętnie jeszcze tu posiedzę - powiedział John. - Mogę ci towarzyszyć?

Skinęła głową z lekkim uśmiechem.

- Zaskoczył cię przyjazd Gaynor? - zapytał.

Przypomniała sobie niedawną rozmowę z Jimem. Harmonia, piękno i prawda... Powiedział, że stanowią jedność. Postanowiła mówić tylko prawdę, nawet jeśli to trudne.

- Przestraszyłam się - powiedziała. - Pomyślałam, że przyjechała tu... po ciebie.

- I to cię zmartwiło?

Nadszedł czas prawdy.

- Tak, ponieważ ja... bardzo jestem z tobą związana.

- A ja? Jak myślisz? Naprawdę przyszło ci do głowy, że mogę cię zostawić dla Gaynor?

- Nie wiem... A co jej przyrzekłeś?

- Że dam jej odpowiedź w przyszłym tygodniu. Chodzi o pracę w jednym z najlepszych amerykańskich szpitali i stałą współpracę z wytwórnią filmową. Mają tam kręcić filmy oświatowe na potrzeby Trzeciego Świata.

Laura posmutniała.

- Trudno z czegoś takiego zrezygnować.

Spojrzał na nią przekornie.

- Nie sądzę. Są w życiu ważniejsze rzeczy, na przykład ty. Myślę, że o tym wiesz.

- Tak - odpowiedziała. - Chyba tak.

Kolejne dwa dni spędzili bardzo aktywnie. Zwiedzali jaskinie, w których żyją nietoperze, i mimo że żadnego nie widzieli, dzieci i tak były zachwycone. Następnie Jim zabrał ich na rodeo.

Dzieci na ogół czuły się dobrze, chociaż zdarzały się niepokojące epizody. Pewnego dnia poziom cukru we krwi Briana Hughesa nagle się podniósł, a na stopach dwojga dzieci pojawiły

się pęcherze. Postanowiono zrezygnować z długiej wędrówki, którą na zakończenie przygotował dla nich Jim.

Nadszedł czas powrotu. Jim odwiózł ich na lotnisko w El Paso. Nastąpiło pożegnanie i łzy. Dzieci tak bardzo się zżyły z Helen i Dwightem, że rozstanie przyszło im z wielką trudnością. Przed wejściem do samolotu John wręczył Laurze małe pudełeczko.

- To na pamiątkę pobytu w krainie Navaho. Otworzyła je i zobaczyła srebrne kolczyki z turkusami.

- Ludzie z plemienia Navaho wierzą, że takie kolczyki pomagają zatrzymać marzenia. Jim poradził mi, co mam ci kupić.

- A co ty wiesz o moich marzeniach, John?

- Wiem, że chcesz, żebyśmy żyli w harmonii i prawdzie, w Hohzho.

- Są naprawdę piękne - przyznała, oglądając prezent, ale -natychmiast schowała pudełeczko, bo jedno z dzieci przyłgnęło do niej, natarczywie o coś prosząc. - Nie sądzę, żeby czekał nas bardzo harmonijny lot - westchnęła znacząco.

Było lepiej, niż sądziła. W Orlando mieli przesiadkę i godzinę czekali na samolot, a potem polecili już prosto do Anglii. W pewnym momencie Alice zaczęła płakać ze zmęczenia i Laura musiała ją wziąć na kolana. Dziewczynka resztę drogi spędziła w jej ramionach.

Próbowali drzemać, ale tylko niektórym to się udało. Laura przymknęła oczy i pograżyła się w myślach. Wycieczka sprawiła jej przyjemność i dostarczyła nowych doświadczeń. Wiedziała, że potrzebuje dużo czasu, by je przemyśleć, ale już teraz wiedziała, że wszystkie doświadczenia są pozytywne.

Ten wyjazd to jednak nie tylko zwiedzanie nowych miejsc. To również stałe obcowanie z Johnem. To właśnie okazało się najistotniejsze. Lecąc nad Atlantykiem, podjęła ostateczną decyzję.

Do Manchesteru przylecieli o świcie. Po niektóre dzieci wyszli rodzice i zabrali je do domu, inne pojechały do szpitala. Harry Roscoe również zjawił się na lotnisku i mogli od razu za wszystko mu podziękować.

W domu Laura umyła się i odświeżyła. W oczach miała blask i determinację. Zmieniła się, wszyscy wkrótce się przekonają, jak bardzo. Nie zamierzała odpoczywać po podróży, postanowiła działać natychmiast. Rozpakowała walizki i wyjęła prezent, który przywiozła dla Roberta.

Robert siedział w łóżku i oglądał telewizję. Kiedy podeszła bliżej, ze zgrozą spostrzegła, że ogląda... mecz rugby! Czy on nigdy nie zrozumie? Pocałowała go w policzek i z radością zauważyła, że Robert znowu przypomina pewnego siebie, zadziornego syna Sal. Zniknął gdzieś przerażony chłopiec, którego widziała przed wyjazdem.

- Strasznie za tobą tęskniłem, Larry. Siadaj przy mnie.

- Wyglądasz wspaniale.

Robert uśmiechnął się łobuzersko.

- Zaraz pokażę ci sztuczkę. Patrz... - Z wielkim wysiłkiem, ledwo dostrzegalnie poruszył palcami. - Widziałaś? Dobre, co?

Objęła go, Łzy napłynęły jej do oczu.

- Ty ruszasz palcami... Robert...

- A co? Lekarze powiedzieli, że to cud. Ten nerw wcale nie został tak bardzo uszkodzony, jak myśleli. To może potrwać kilka miesięcy, może nawet rok, ale będę chodził! Larry, słyszysz? Będę chodził! Może nawet znowu będę grał w rugby...

- Nigdy! Po moim trupie!

Mrugnął okiem.

- Tak tylko żartowałem. No, Larry, rozchmurz się, a przede wszystkim nie płacz. Dość mam kłopotu z Sal i braćmi. Nic tylko mażę się po kątach. Ty jedna potrafisz się trzymać. Jesteś twarda.

Prawie nie mogła wydobyć głosu ze zdumienia.

- Ja? Ja jestem... twarda?

- Pewnie. Cała rodzina tak uważa. Kto nie wpadł w panikę po tym wypadku? Kto się wszystkim zajął? Ty, tylko ty jedna.

Nigdy tak o sobie nie myślała.

- Co ty opowiadasz...

- Nic nie opowiadam - obruszył się. - Tak właśnie jest i koniec. Ty pomogłaś mi w najtrudniejszym okresie, kiedy mówiłem... no, wiesz, o tych pigułkach. - Jego twarz rozjaśniła się. - Wiesz, Larry, jeśli kiedyś się ożenię, w co na razie wątpię, i jeśli będę miał dzieci, w co wątpię jeszcze bardziej, i jeśli, uchowaj Boże, urodzi mi się córka, nazwę ją Laura. Może będzie do ciebie podobna.

- Mam nadzieję, że to miał być komplement. - Laura podała mu paczkę. - A to prezent z Miami dla ciebie. Sweter z delfinami.

- Fantastycznie!

Spojrzała na niego spod oka.

- I jeszcze jedno. Raz na zawsze koniec z Larrym. Nie zamierzam być chłopakiem, jestem dziewczyną i na imię mam Laura. Zrozumiano?

- Jasne. Będzie tak, jak sobie życzysz, Lauro.

Lauro... To brzmiało bardzo dobrze i bardzo jej się podobało.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Trzy dni zajął jej powrót do dawnego trybu życia. Po pracy musiała udzielać wywiadów miejscowej prasie. Johna widywała bardzo rzadko, a kiedy wreszcie na niego wpadła, uśmiechnęła się tylko.

- Niezły kierat. Myślisz, że to się kiedyś skończy?

- Mam nadzieję.

- Pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu...

Musiał przerwać, bo zjawił się fotoreporter i koniecznie chciał im zrobić serię zdjęć. Później John wyjechał na trzy dni do Londynu na konferencję i znowu się nie widzieli.

Laura nie zrezygnowała z powziętej w samolocie decyzji. Postanowiła rozpocząć nowe życie.

Wróciwszy do domu, usiadła na łóżku i siedziała tak przez godzinę, rozmyślając i coś notując. Potem

pewnym ruchem sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Sal.

- Potrzebna mi chwila relaksu, strasznie duzo mialam ostatnio pracy. Jesli wybieracie sie do klubu, wpadne tam do was. Musimy pogadac.

Serce bilo jej mocno. Zrobila pierwszy ruch, ciekawe, czy zrobi nastepny...

Wiedziala, ze John wlasnie wroutil i zaraz wieczorem do niego zadzwonila.

- Co robisz w sobote? Mam dla ciebie propozycje.

Wstrzymala oddech.

- Jak dobrze, ze dzwonisz - powiedzial. - W sobote jestem wolny. A co, jest jakaś specjalna okazja?

- Chce sie sprawdzic. Poidziesz ze mna do klubu rugby? Będzie cała moja rodzina:

- A twoje wspomnienia?

- To juz przeszlosc. Zaczynam nowe zycie.

- Poidę z przyjemnoscia. O ktorej mam po ciebie wpaść?

Weekend miala wolny. O dziewiatej spotkala sie w miescie z ciotka. Sal zjawila sie ubrana w wytworny, zielony plaszcz, Laura przyszla na spotkanie w kurtce i spodniach.

- Dzisiaj kupujemy tylko sukienke na wieczor - rzekla Sal znacaco. - Na reszte umowimy sie w tygodniu, kiedy w sklepach jest mniejszy tluk.

- Dobrze - poslusznie zgodzila sie Laura.

Sal nie skomentowala jej uleglosci ani slowem.

- Poidziemy do Baileya - powiedziala tylko. - Przedtem zajrzemy do kilku butikow, tak dla orientacji.

Laura po raz pierwszy w zyciu robila prawdziwe zakupy. Na szczescie miala przy sobie wytrawnego eksperta. Sal krytycznym wzrokiem obrzucila trzy sukienki, wybrane przez Laure.

- Ta jest uszyta z lichego materialu, po tygodniu straci fason i zrobi sie z niej worek.

- A ta biala?

Sal zmarszczyla brwi.

- Ma zle skrojona gore. Jak, tylko glębiej odetchniesz, spłaszcz ci biust i bedziesz fatalnie wygladac.

Laura nigdy by na to nie wpadla. Pozostalo jej potulnie czekac na aprobate. Dotarli wreszcie do Baileya i Laura zrozumiala, ze poprzednie wizyty byly tylko rodzajem przygrywki. Najwazniejsze mialo rozegrac sie tutaj.

Bailey byl najdrozszy magazynem w miescie. Laura nigdy przedtem tu nie zagladala, Sal zas czula sie jak u siebie w domu.

- Znam dziewczynę z dzialu sukien wieczorowych. Robilam jej wlosy.

„Dziewczyna" miala piecdziesiat lat, błękitny kostium i świetnie dobrany kobr wlosow. Obie z Sal krytycznym spojrzeniem obrzucily Laure.

- Zaraz cos znajdziemy.

- Zdejmij te ohyde - polecila Sal, pogardliwym ruchem wskazujac kurtke Laury.

Laura posluchala i obie kobiety przez chwile przygladaly sie jej uwaznie. Mabel - tak nazywala sie sprzedawczyni - nie wygladala na zwolenniczkę spodni i luznych swetrow.

- Bardzo dobra figura, szczupła, wysoka... Zdaje się, że coś mam.

Przyniosła od razu pięć sukienek; wszystkie były prześliczne. Sal kolejno przyłożyła je do Laury. Potem wybrała dwie: czerwoną i niebieską.

- Przymierz.

Laura schroniła się w przebieralni. Włożyła czerwoną i przejrzała się. Sukienka niezbyt pasowała do sportowych półbutów, ale mimo to Laura wyszła i zaprezentowała się „sędziom”.

- Lepszy byłby inny kolor - oświadczyła Mabel i Sal ze zrozumieniem skinęła głową.

Ciemnoniebieska sukienka miała głęboki dekolt i Laurze wystawało spod niej ramiączko biustonosza. Oko Sal natychmiast to wypatrzyło.

- Nie wiesz, że już się tego nie nosi? Masz figurę młodej dziewczyny, zdejmij to i pokaż się!

Laura posłusznie wróciła do przebieralni, zdjęła stanik i ponownie włożyła suknię. Poczula się wolna i niezależna, a wyglądała niezwykle pociągająco.

W oczach Sal i Mabel dostrzegła cień aprobaty.

- Obróć się kilka razy. - Sal podeszła do niej. – Może być. Kupimy jeszcze buty na obcasach i zmienimy fryzurę.

Laura spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Dawna Larry nigdy by nie włożyła takiej sukni.

- Kupuję ją - oświadczyła.

- Zawsze chciałam mieć córkę - powiedziała Sal, kiedy szły potem wzdłuż stoisk. - Bardzo się cieszyłam, kiedy zamieszkałaś z nami. Ale ty nie chciałaś się bawić lalkami, a potem nie interesowałaś się strojami. Najwyższy czas wszystko nadrobić.

W pół godziny później Laura została właścicielką lekkiego granatowego płaszcza.

- To doskonały fason - oświadczyła z satysfakcją Sal - będzie ci długo służył. A teraz usiądźmy i napijmy się kawy.

Usiadły w barku, zamówiły kawę i ciasteczka.

- Jesteś zadowolona z zakupów?

- Bardzo, tylko trochę oszołomiona.

- Szybko się przyzwyczaisz. Zobacz, mam tu coś dla ciebie.

Położyła przed nią pudełeczko. W środku były dwa łańcuszki: złoty i srebrny.

- Skąd to masz?

- Należały do mojej babki, potem dostała je moja matka, a potem ja. Teraz będą twoje.

Laura odsunęła pudełeczko.

- Nie mogę tego przyjąć.

Sal wzruszyła ramionami.

- Mam dużo biżuterii, a ty nie masz nic. Niech zostaną w rodzinie.

- Dziękuję.

Wreszcie znowu ruszyły po zakupy. Najpierw kupiły wieczorową torebkę, a następnie trzy pary cienkich rajstop i czarne pantofelki na wysokim obcasie.

- Do tej sukni musisz mieć buty na wysokim obcasie. A teraz bielizna. Na specjalne okazje trzeba mieć coś specjalnego.

- Bielizny i tak nikt nie widzi - oponowała Laura.

Sal zmrużyła oko.

- Jesteś tego pewna?

Laura zaczerwieniła się.

- Nie miałam na myśli nic zdrożnego - wyjaśniła spokojnie Sal. - Przecież nigdy nic nie wiadomo. Możesz zasłać i lekarz zechce cię zbadać.

Laura szybko zgodziła się na zakup jedwabnej bielizny, nie rozwijając niebezpiecznego tematu. Z magazynu Baileya wyszły po trzech godzinach, objuczone torbami.

- Było wspaniałe - westchnęła z rozkoszą Sal. - To właśnie lubię najbardziej, ale... mamy przecież w planie jeszcze coś.

O ósmej Laura siedziała w sypialni, w której spędziła niemal całe dzieciństwo. Była zmęczona. Nigdy nie przypuszczała, że „zrobienie się na bóstwo” wymaga tyle pracy. Ani że jest takie przyjemne.

Po zakupach udały się do salonu Sal, gdzie Laurze zrobiono manikiur i pedikiur. Potem Sal obcięła jej włosy, ufarbowała je i uczesała. Nowa fryzura podkreśliła rysy Laury i nadała jej twarzy jasny i radosny wyraz. Następnie wizażystka zrobiła jej makijaż.

W domu włożyła nową sukienkę i srebrny łańcuszek otrzymany od Sal, a także srebrne kolczyki od Johna. Nigdy nie miała na sobie tylu ozdób na raz, ale musiała przyznać, że doskonale w nich wygląda. Przez dłuższą chwilę przyglądała się swemu odbiciu w rastrze. Miała przed sobą piękną, pewną siebie kobietę.

Usłyszała samochód zatrzymujący się przed domem i Sal z dołu zawołała:

- Taksówka podjechała, Lauro. Zaprosz gościa do środka.

Przez chwilę chciała zostać na górze. Nie schodzić, ukryć się i nie brać udziału w życiu. Potem wstała, zeszła, otworzyła drzwi i stanęła twarzą twarz z Johnem.

Miał ze sobą wielki bukiet kwiatów. Uśmiechnął się i spostrzegła, że patrzy na nią z niepokojem. Martwi się o mnie, pomyślała z przyjemnością.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziała i mocno pocałowała go w policzek.

Wprowadziła gościa do środka i poczuła na sobie jego zdumione spojrzenie.

- Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle.

- To sprawka Sal, ale tylko na ten jeden wieczór. Od poniedziałku będę znowu zwykłą siostrą McLeod.

- Nigdy nie będziesz nikim zwykłym...

Przez chwilę nie odzywali się, milcząc o tym samym.

- Chodź, przedstawię cię - powiedziała w końcu, biorąc go pod ramię.

- Ale najpierw...

Wyjął zza bukietu pudełko z orchideą.

- To dla ciebie.

- Prześliczna! - powiedziała i znowu go pocałowała.

Tym razem przytrzymał ją przez chwilę w ramionach.

Sal była zachwycona bukietem; w jej rodzinie mężczyźni rzadko dawali kobietom kwiaty. John przywitał się z Colinem i Clive'em. Podczas gdy mężczyźni rozmawiali, Sal odciągnęła Laurę na bok i przypięła jej do sukni orchideę.

- On jest bardzo miły - szepnęła. - Co was łączy?

- Bardzo się lubimy - odparła Laura.

Klub znajdował się niezbyt daleko od domu i tradycyjnie przebyli tę drogę pieszo. Przy wejściu John podał Laurze ramię.

- Czy to będzie bardzo oficjalne? - zapytał, ścisząc głos.

- Nie, chciałabym po prostu dobrze się bawić.

- Doskonały pomysł. Wiesz, dzwoniłem dziś do Gaynor.

Laura wstrzymała oddech.

- Dzwoniłeś w sprawie pracy? - zapytała, starając się, aby jej głos brzmiał normalnie.

- Tak. Nie była zachwycona, kiedy odmówiłem. Powiedziałem, że mam tutaj bardzo wiele do zrobienia.

- Cieszę się. Jesteś wspaniałym lekarzem.

- Miałem na myśli nie tylko sprawy zawodowe.

Weszli do jasno oświetlonego wnętrza i Laura rozejrzała się z tłumionym lękiem. Ostatni raz, kiedy tu była... Lęk natychmiast ustąpił. To było dawno temu, niczego nie musi się obawiać. Zaskoczona i szczęśliwa rozpoznawała i witała dawnych znajomych.

- Bardzo dawno cię nie było...

- Chyba teraz zaczniesz znowu bywać...

- Cudownie wyglądasz...

Nawet kiedy już usiedli przy stoliku, stale ktoś podchodził, żeby powitać Laurę i poznać Johna.

Wieczór okazał się bardzo udany. John zamówił szampana, a Sal postanowiła zerwać z paleniem. Laura tańczyła z Johnem i czuła się jak w raj. Tańczyła też z innymi. Miała ogromne powodzenie, a swoje dawne obawy potraktowała teraz obojętnym wzruszeniem ramion. Cień przeszłości rozwiał się jak dym.

W pewnej chwili John powiedział, że zamówił taksówkę. Laura podeszła do Sal i pożegnała się z nią.

- Jedź... i baw się dobrze, kochanie.

Nastąpił ostami taniec. Laura położyła głowę na ramieniu Johna.

- Mogę wracać z tobą? - szepnęła. Spojrzał na nią lekko zaskoczony.

- Nie musisz wracać z rodziną?

- Nie. Mam pewne sprawy do załatwienia.

- W takim razie bardzo proszę. Pożegnali się ze wszystkimi.

- Nawet nie wiesz, jaką mi sprawiłaś radość, że przyszedłaś tu z nami - szepnęła wzruszona Sal.

- Wpadnę tu jeszcze.

John czekał w drzwiach, gdy nadszedła taksówka. Po gwarze i światłach klubowej sali ciemność panująca we wnętrzu pojazdu robiła przytulne wrażenie. John objął Laurę ramieniem.

- Nie muszę chyba pytać, czy się dobrze bawiłaś.

Uścisnęła jego dłoń. Kiedy podjechali pod szpital, nagle się zdecydowała.

- Czy moglibyśmy przedtem wstąpić do ciebie na kawę?

- Oczywiście. - John spokojnym głosem podał kierowcy swój adres.

Laura głęboko odetchnęła: odważyła się to powiedzieć! John zaprosił ją do salonu, a sam poszedł do kuchni przygotować kawę.

- Kupiłem właśnie nową płytę. Jeśli chcesz, włącz muzykę.

Ella Fitzgerald... Laura z rozkoszą poddała się ciepłemu głosowi piosenkarki, zsunęła pantofle i usadowiła wygodnie na kanapie. Czuła się zmęczona i szczęśliwa.

John wrócił z tacą i filiżankami. Zauważyła, że zdjął marynarkę i krawat.

- Mężczyźni mają dobrze - powiedziała. - Zawsze mogą zrzucić marynarkę, a ja w tej mojej galowej sukni... zupełnie nie mogę się odprężyć.

John usiadł przy niej i podał jej filiżankę.

- Sukienka jest śliczna, ale jeśli chcesz się przebrać, mam coś dla ciebie. Dwa lata temu byłem w Hongkongu na konferencji i kupiłem bardzo ładny jedwabny szlafrok. Nigdy go nie używałem.

- Doskonały pomysł - rzekła Laura po chwili.

Przeszli do sypialni, John wyjął z szafy pudełko i położył je na łóżku.

- Otwórz i zobacz, zostawiam cię samą.

Ujrzała cudowny jedwabny strój. Przez chwilę się namyślała, a potem powoli zsunęła błękitną suknię. Nie patrząc w lustro, włożyła na siebie chłodny jedwab i wróciła do salonu.

- I jak? Może być?

Lekko uniosła dłonie; wyglądała jak motyl.

- Przepięknie. - Głos Johna był nieco schrypnięty.

Usiadła przy nim i sięgnęła po filiżankę. Muzyka dobiegła końca i zapadła cisza. John objął Laurę, która poddała mu się z uśmiechem. Po chwili wstał i wyciągnął ku niej dłonie. Również się podniosła i pozwoliła się zaprowadzić do sypialni.

Oddała mu się z miłością i bez lęku. Leżała potem z głową na jego ramieniu, spokojna i szczęśliwa. Wodziła dłonią po jego ciele, jakby chciała obrysować osiągnięte szczęście.

- Kocham cię - powiedział.

- Wiem, i ja też cię kocham. Ta miłość stanowi część mojego nowego życia.

John unióśł głowę.

- A czy ja też stanowię część twojego nowego życia?

- Ty nim jesteś.

- W takim razie zostaniesz chyba moją żoną?

- Nawet gdybyś zmienił zdanie.

Potem znowu leżeli obok siebie, znużeni i szczęśliwi.

- Tak mało o tobie wiem - zaczęła sennym głosem - a chciałabym wiedzieć wszystko.

- Odpowiem ci na każde pytanie.

- Stale myślę o Gaynor. Sądzę, że ona jeszcze... Nieważne, mówiłeś, że mieliście się pobrać.

Delikatnie pocałował ją w ramię.

- Gaynor szybko pogodzi się z faktem, że nie może mieć mnie i znajdzie sobie innego konsultanta. A sprawy osobiste. .. Wtedy nie wiedziałem, co to znaczy miłość. Zrozumiałem dopiero, kiedy poznałem ciebie. Gaynor tylko mnie fascynowała, ale jej nie kochałem.

- A praca? To przecież wyjątkowa okazja...

- Moje miejsce jest tutaj.

- A co z twoimi rodzicami? Jak twoi rodzice zareagują na to, że zabieram im jedyne syna?

- Już ci mówiłem, że nasze drogi nieco się rozeszły. To niczyja wina, ale tak się stało. Teraz mamy tylko jeden sposób, żeby na nowo stać się rodziną. Oni muszą mieć wnuki!

- Co takiego?

- Będiesz cudowną matką. Może nawet wcześniej niż myślisz, zwłaszcza że nie pomyślałem o zabezpieczeniu.

Prawdę mówiąc, ona też nie pomyślała. Szybko dokonała w myślach obliczeń.

- Chyba wszystko w porządku - oznajmiła po chwili.

- Ale ja chcę mieć z tobą dzieci. Na początek dwoje, a potem się zobaczy.

- Tego nie ma na zamówienie.

- Trudno, musimy spróbować jeszcze raz.

Przyjemny dreszcz przebiegł jej ciało.

- Proponuję nie zwlekać.

Leżeli dalej obok siebie szczęśliwi, że mogą się kochać, kiedy tylko zechcą.

- Mam dobre wiadomości o Robercie. Charles Whitrow mówi, że literatura medyczna nie zna takiego przypadku. I bardzo dobrze. Gdyby natura od czasu do czasu nas nie zaskakiwała, pycha by nas zadusiła.

- Tak, to prawdziwy cud.

- Myślisz, że Robert da radę utrzymać obrączki? Nie mam brata, więc muszę go od ciebie pożyczyć na mojego družbę.

- John...

Pocałowała go i znowu się do siebie przytulili. To, co teraz czuła, należało już do nowej natury, której przed miesiącem nie знаła, a która teraz była bardziej rzeczywista niż otaczający ją świat.